

Przed 30 rocznicą napaści hitlerowców na Polskę

OSMIEGO DNIA WOJNY mieszkańcy Rzeszowa ze wzrastającym niepokojem wsłuchiwali się w narastający od zachodu grzmot dział i z przynębnieniem obserwowali cofające się zdeorganizowane oddziały polskie.

Sytuacja była poważna. Pancerne oddziały Wehrmachtu wdarły się głęboko między Armie „Kra-ków” i „Karpaty”, prac na Rze-szów — Jarosław i dalej na Lwów. Dowództwo polskie czyniło rozpaczliwe wysiłki otworzenia frontu na Sanie i powstrzymania najeźdźcy.

Podstawowym warunkiem realizacji tego zamierzenia było wycofanie z przedpola mocno nadwreżonych walkami 11 i 24 dy-wizji piechoty oraz 2 i 3 brygady górskiej.

Jedynie w pełni skonsolidowaną siłą, zdolną przeciwstawić się „o-strzu włócznie” — nacierającej w pierwszym rzucie niemieckiej 4 dywizji lekkiej była 10 Brygada Kawalerii płk. dypl. Stanisława Maczka. Była to doborowa, w pełni zmotoryzowana jednostka, która wstawiła się świetną obroną wozów górskich. Dzięki 10 BK uniknęła okrążenia Armia „Kra-ków”, dzięki zmotoryzowanej ka-walerii względnie pomyślnie przebiegał odwrót za Dunajec. Jej też powierzono obronę Rzeszowa i powstrzymanie w dniu 8 września 4 dywizji lekkiej.

Obrona miasta było konieczna. Oniej zależała możliwość odsko-ku wielkich jednostek Armii „Karpaty”, zorganizowania przejściowej linii oporu pod Łańcutem, wreszcie zaopatrzenie wycofują-cych się oddziałów w żywność, pa-liwo, amunicję z bogatych maga-zynów Rzeszowa.

Płk. dypl. S. Maczek powierzył najważniejsze zadanie — bezpo-srednią obronę miasta dowódcy 24 pułku ułanów, płk dypl. K. Dworakowi, który otrzymał jako wsparcie baterię haubic 100 mm ppor. H. Józefowicza, 1 baterię 60 dac. kpt. Z. Łyzickiego i 1 szwadron dział ppanc. por. W. Leli-wy-Kiersza.

Ze względu na szczupłość sił — zgrupowanie nie obsadziło całoś-ci frontu na zachodnim brzegu Wisłoka. Zorganizowano nato-miast obronę trzech najważniej-szych pozycji.

I tak 1 szwadron por. M. Pi-wońskiego, wsparty pułkowym plutonem dział ppanc. ppor. J. Telatyckiego i plutonem ckm za-jęły cegielnię i garbarnię, wzgórze 218 i 224 zamykające szosę De-bica — Rzeszów. Por. Piwoński miał do godz. 20.00 bronić odcin-ka Świlcza — Przybyszówka.

2 szwadron por. W. Rakowskie-go z jednym działkiem ppanc. ob-sadził tor kolejowy między mo-stami w rejonie Staromieścia, u-bezpieczając się placówką w Szko-le Rolniczej Miłocin. Por. Rakow-ski miał bronić szosy Miłocin — Rzeszów, do godziny 21.00.

1 pluton 4 szwadronu ppor. J. Otrębskiego wsparty przez dwa ckm powiązał odcinki obrony 1 i 3 szwadronu, grupując się na wzniesieniu, opodal drogi Przy-byszówka — Staroniwa.

3 pluton 3 szwadronu plut. J. Brzozy bronił mostu na Wisłoku od strony szosy Rzeszów — Bła-żów. Oddział ten wspierał 1 ckm i 2 rusznice ppanc. Ubezpieczenie w sile drużyny z 1 rusznica obsadzi-ło cegielnię Zmysłówka.

Najtrudniejsze zadanie przypa-dło por. R. Radziwiłowiczowi, do-wódcy 3 szwadronu. Po odejściu 3 plutonu do obrony mostu, oba pozostałe zajęły kolonię przy szo-sie Boguchwała — Rzeszów, trzy-

składu 2 szwadronu, reszta dzia-łek ppanc. por. W. Leliwy-Kier-sza, pluton ckm i patrol motocy-klistów. Odwód ten został skon-centrowany w rejonie kościoła Bernardynów i gmachu „Szkola”.

ten sposób pozycje 24 pułku uła-nów. Płk. dypl. Bokszczanin dy-sponował poważnym wsparciem — 2 szwadronem działek ppanc. i baterią armat 75 mm ppor. A. Zawadzkiego.

Adam Michelis

Bój o Rzeszów

mając pas terenu od toru kolejow-ego po Wisłok, na linii tartak parowy — przystań wodna! 1 szwadron uzyskał wydatne wsparcie w postaci plutonu dzia-łek ppanc., plutonu ckm i plutonu moździerzy.

W odwodzie pułku znajdował się niepełny 4 szwadron rtm. W. Zarembińskiego, jeden pluton ze

Nad sprawnym funkcjonowaniem łączności czuwał pluton por. S. Michalskiego. Stanowisko dowo-dzenia płk. dypl. K. Dworaka umieszczono w budynku Poczty Głównej.

10 pułk strzelców konnych ppłk. dypl. J. Bokszczanina obsadził li-nię Rudna Wielka — Miłocin, frontem na południe, flankując w

W Bratkowicach na przedłuże-niu linii obrony 10 psk, stanął dy-wizjon rozpoznawczy mjr K. Świę-cickiego, patrolujący kierunki do Debicy i Mielca. W odwodzie 10 BK w Głogowie pozostała tylko kompania czołgów rozpoznaw-czych TKS por. Z. Ziemskiego.

Między godziną 15.00 a 15.45 wszystkie oddziały znalazły się na

wyznaczonych stanowiskach i za-meldowały gotowość bojową. Za-ledwie to nastąpiło, pod Rzeszów nadiągnęła niemiecka 4 dywizja lekka, rozbijając w Świlczy 1 ba-talion 53 pp mjr Harasymowa ze składu cofającej się na wschód 11 dywizji piechoty.

9 pułk rozpoznawczy ppłk Rit-tera von Hanenschilda zaatakował Miłocin. Mimo ostrego ognia obrońców samochody pancerne przedarły się przed pozycje 2 szwadronu. Dopiero tam, utraciwszy od pocisków działek ppanc. sześć wozów bojowych, dowódca natarcia ppłk. Vichtyil, zrezygnował z dalszych prób przełamania oporu ułanów. Jedyną korzyścią było zajęcie wzgórz na północ od Dworzyska i wzgórze 298, skąd prowadzono intensywny ogień broni maszynowej na 2 szwadron.

Niepowodzenie pierwszego ude-rzenia zaskoczyło dowódcę 4 dy-wizji lekkiej, gen. mjr Hubitzkie-go. Sztab kierowany przez kpt. Wagenera postanowił uderzyć na Rzeszów od południa, poprzedza-jąc atak zmasowanym nalotem. Około godziny 15.00 nad miasto nadleciały eskadry Stukasów (Junkers — Ju 87) ze składu 77 pułku nurkowców. Mimo poważ-nych szkód wyrządzonych bom-bardowaniem obrona nie została zdeorganizowana.

Kilka minut po odlocie nur-kowców został zaatakowany 1 szwadron. Od Przybyszówki na-cierały samochody pancerne i mo-tocykliści 2/9 pułku rozp. rtm von Ohlen und Adlescorn, a z Kiela-nówki i zza wzgórze Rudki posłała kompania lekkich czołgów 33 oddz. panc. mjr von Koppena.

Przy silnym wsparciu ognio-wym 102 pal ppłk. Kampfenkla zgrupowanie to próbowało przeła-mać opór 1 szwadronu. Przywita-ni pociskami działek ppanc. ppor. J. Telatyckiego i baterii haubic strzelającej z rejonu Szkoły Mle-czarskiej, Niemcy pośpiesznie za-wrócili, pozostawiając na przed-polu pięć rozbitych wozów. Po przegrupowaniu natarli oni bez powodzenia na 10 psk, a do wie-czora mniejszymi siłami nekali por. M. Piwońskiego.

Całe to działanie miało na celu odwrócenie uwagi obrońców od właściwego kierunku natarcia i zmuszenia ich do niekorzystnego zgrupowania. Główny atak ruszył około godziny 16.30 na pozycje 3 szwadronu, z zamiarem zdobycia mostu na Wisłoku i odcięcia puł-ku na zachód od rzeki.

Po rozbrojeniu zaminowanej barykady na wiadukcie w Bogu-chwale, niemiecka kolumna ude-rzeniowa zbliżyła się do stano-wisk ułanów. Walka zaczęła się dla Niemców bardzo niefortunnie. Straż przednia wpadła w zasadzkę, tracąc dwa samochody pancer-ne. Opancerzony wóz dowodzenia, pięć ciężarówek i kilkanaście mo-tocykli. Oddział rozpoznawczy 10 pułku zmotoryzowanej kawa-lerii ppłk Brehmera został w cią-gu kilku minut doszczętnie zniszczo-ny, tracąc wszystkie pojazdy i większość składu osobowego.

Kleska spowodowała natych-miastowy odwrót artylerii niemie-ckiej. Przez pół godziny nieprzy-jacieli razili huraganowym ogniem pozycje 3 szwadronu, wprowadzając do walki II 102 pal mjr Stohmaiera i liczne moździerze 10 p. zmot. kaw. Pod osłoną nawały ogniowej do ataku ruszył po obu stronach szosy 10 p. zmotoryzo-



Stary Rzeszów

BÓJ O RZESZÓW

(Ciąg dalszy ze str. 1)

wanej kawalerii, ale podjęta kontratacja zmusiła nieprzyjaciela do odwrotu. Oficer obserwacyjny polskich baterii znakomicie pokierował ogniem haubic. Rażone pociskami artylerii i ogniem pięciu ciężkich karabinów maszynowych tyralierzy niemieckie wycofały się ze wzgórza pod Zwięzycę.

Dowodzący tym nieudanym atakiem dowódca p. zmotoryzowanej kawalerii mjr Iwanowski złożył meldunek o niepowodzeniu i wysokich stratach.

Spowodowało to ponowną nawałę artyleryjską, a następnie natarcie wzmożone 10. pułkiem mjr Sudricha i ośmioma czołgami. Polacy zdołali zniszczyć jeszcze jeden wóz bojowy i zmusić pozostałe do odwrotu, ale niemieccy strzelcy podsunęli się pod ich osłoną na niebezpiecznie bliską odległość do stanowisk ułanów 3 szwadronu. W tej fazie walki uwidoczniła się przewaga Niemców w uzbrojeniu. Liczna broń maszynowa, moździerze i granatniki zasypywały pozycje polskie gradem pocisków, rozbijając między innymi moździerz 81 mm, przy którym zginął jeden i odniosło poważne rany dwóch ułanów.

Niemal równocześnie drogą Czudec—Babica nadciągnęły dalsze oddziały niemieckie i uzyskawszy wsparcie ruszyły na pozycję 2 plutonu ppor. Niwińskiego. Ułani nie zdołali wytrzymać impetu natarcia wielokrotnie silniejszego przeciwnika i musieli wycofać się na drugą linię obrony. 1 pluton miał pięciu zabitych i czterech ciężko rannych.

Niemcy wdarli się między budynki kolonii. Zawrzał bój na granaty. Kilkakrotnie dochodziło do rozpaczliwych uderzeń ułanów na bagnety. W walce z całym pułkiem samotny polski szwadron nie miał szans, nie mogąc ze względu na trudności terenu wykorzystywać swojej ciężkiej broni. Po pół godzinie boju por. Radziwiłowicz wycofał pojedynczymi drużynami swoich żołnierzy na osłateczną linię obrony: tartak parowy — przystań wodna. Zwyciężających Niemców przywitały nagłe serie polskich ciężkich karabinów maszynowych. Nieprzyjaciel, opanowany ostatecznie kolonię, został rażony przez plutony wsparcia obsadzające masywne budynki cegielni.

Około godziny 20.00 Niemcy ponownie próbowali złamać pozycje 1 i 2 szwadronu. Samochody pancerne podeszły na odległość jednego kilometra od szosy, zostały jednak przyjęte celnym ogniem i zmuszone do odwrotu. W tym też czasie w sztabie 10 BK uznano, że zadanie zostało wypełnione i przyrzucano do ściągania oddziałów za Wisłok. Pierwsze odeszły — dywizjon rozpoznawczy i 10 psk z przydzielonymi jednostkami, a następnie oddziały 24 p. ułanów. Około godz. 21.00 2 szwadron opuścił stanowiska i przez Pobitno odjechał do Krzemienicy, nieco później odszedł 1 szwadron oraz 1 pluton 4 szwadronu, które utrzymały swoje pozycje, tracąc zaledwie trzech rannych ułanów. Do oddziałów tych dołączyło zgromadzenie odwodowe rtm. Zarembskiego i po przejściu na wschodni brzeg Wisłoka obsadziło go, stanowiąc pierwszą pozycję osłaniania linii oporu pod Łańcutem.

W Rzeszowie pozostał tylko 3 szwadron, do którego powrócił 3 pluton p. J. Brzozy. Ułani zajęli stanowiska, szykując się do nowego boju. Szwadron otrzymał rozkaz bezwzględnej utrzymania pozycji do godz. 23.00, to jest czasu, potrzebnego na wycofanie się brygady za Wisłok.

Około godziny 20.00 hitlerowcy ruszyli do natarcia, podchodząc bardzo blisko linii oporu por. Radziwiłowicza, dopiero wtedy wydał rozkaz otwarcia ognia. Pięć ckm i dziewięć rkm odrzuciła nieprzyjaciela, a miary porażki dopełnił wspaniały kontratak na ba-

gnety. Niemcy wpadli w panikę i tracąc licznych zabitych wycofali się do cegielni, wzywając rakietami ogień zaporowy własnej artylerii. Wskutek jej działania ułani nie zdołali zabrać z pola starcia zabitych i ciężko rannych, aczkolwiek odwrot przebiegł bez zakłóceń.

Znaleziono przy zabitych ułanach papiery i ich charakterystyczne umundurowanie, potwierdziły przypuszczenia sztabowców 4 dyw. lekkiej. Zdecydowany twardej opór, który początkowo tak bardzo zaskoczył Niemców został teraz wyjaśniony, Niemcy dobrze znali tego nieustępliwego przeciwnika, który zadał im wielkie straty w Karpatach i nie pozwolił na przełamanie swoich pozycji obronnych pod Mszaną, Kasiną, Wiśniową i Grabiem.

General Hubitzky, stwierdziwszy, kto broni Rzeszowa, zrzętnował ze wznowienia natarć, w obawie że walki nocne w mieście przyniosą jego dywizji dalsze dotkliwe straty przy minimalnej szansie pokonania groźnego i bitnego przeciwnika.

Nie niepokoiony 3 szwadron około północy opuścił stanowisko i przez opustoszałe ulice Rzeszowa podeszedł na brzeg rzeki. 1 i 3 pluton obsadził przyczółek mostowy, 2 pluton i oddziały wsparcia przeszły za Wisłok. W dwie godziny później niemieckie patrole zaczęły ostrożnie zapuszczać się w głąb miasta, stwierdzając, że zostało ono opuszczone. Gdy jednak jeden z nich próbował zbliżyć się do mostu, otworzył ogień polskie ckm ze wschodniego brzegu rzeki, a 3 pluton uderzył na bagnety, rozbijając Niemców.

Ta ostatnia potyczka ostatecznie ochłodziła zapędy wojowniczych rodaków Fuehrera. (4 dyw. lekka składała się przeważnie z Austriaków). O godzinie 4.00 ułani przeszli most, który zaraz potem wysadzono w powietrze. Bój o Rzeszów był zakończony. Dla jego mieszkańców był to ciężki cios, gdyż oddziały polskie opuściły miasto. Opuściły go na rozkaz, w pełnym porządku i zgodnie z planem po wspaniałej obronie, ponosząc niewielkie straty — łącznie około 20 zabitych i ciężko rannych. Oddziały polskie zadaly nieprzyjacielowi przeszło dwudziestokrotnie wyższe straty. Zniszczono piętnaście samych tylko pojazdów pancernych, kilka ciężarówek i wiele motocykli, liczną broń maszynową i granatniki. Rzeszów bronił przez „czarną brygadę”, jak nazywali Niemcy 10 BK okazał się orzechem nie do zgryzienia.

Trzeba powiedzieć, że byłyby one mocne. 4 dyw. lekka miała przeszło dziesięciokrotną przewagę w wozach bojowych, trzykrotną w artylerii polowej, dwukrotną w przeciwpancernej, przeszło czterokrotną w broni maszynowej, czterokrotną w składzie osobowym i bezwzględną we wsparciu lotniczym.

W tej sytuacji, obrona Rzeszowa, będąca jedną z najpiękniejszych kart kampanii wrześniowej stała się raz jeszcze potwierdzeniem bohaterstwa żołnierza polskiego, które czcimy, wspominając pamiętne dni Września.

Z ŹRÓDŁA

Franciszek Skibiński, gen. bryg. — „Pierwsza pancerna”, Warszawa 1959.
Stanisław Maczek, gen. bryg. — „Od podwoju do czołga”. Wspomnienia wojenne 1918—48. Edynburg 1961.
Romuald Radziwiłowicz, mjr — „Obrona Rzeszowa przez 24 p. uł. w dniu 8. IX. 1939 r. WPH 4/1967.”
Kazimierz Dworak, pik dypl. — „Rejestracja faktów uwagi i spostrzeżeń”. Paris 1940.
Władysław Steblik, pik dypl. — „Działania GO „Boruta” 10 KBZmot. 8—13. IX. 1939 r. WPH 3/67.”
Praca zbiorowa — „Polskie Siły Zbrojne w II wojnie światowej”. Tom I, część III. Londyn 1954.
Schelbert Hors, Wagner Carl — „Die Deutsche Panzertruppe 1939—1945 Bad Nauheim 1966.”
Stahl Flegelrich, gen. bt. — „Gliederung, Standorte und Kommandeure sam Hecher Einheiten und Dienststellen des Friedensheeres am 3. I. 1939 und die Kriegsführung von 1. IX. 1939 Bad Nauheim 1954.”

Zdzisław Kozioł

A NAM SZKODA



„Drzewa” — rysunek — HELENA MAJEWSKA

Swego czasu opublikowałem w „Nowinach” artykuł, w którym nazwałem Rzeszów miastem lysiującym. Moje uwagi, dotyczące zieleni miejskiej, spotkały się z nader ostrą reakcją czytelników; jedni mieli mi za złe, że postępuję nasze miasto, drudzy zaś, mianowicie ci, których irytuje brak zieleni, twierdzili, że zbyt ułgowo potraktowałem sprawców wycinania drzew czy też podejmujących decyzje w sprawie lokalizacji różnych obiektów na terenach dotąd zielonych. Nawet nie przypuszczałem, że trawka i kwiatki mogą rozpętać aż taką burzę...

Bogiem a prawdą mógłbym z czystym sumieniem powtórzyć wszystkie twierdzenia i oceny zawarte w artykule pt. „Lysiejące miasto”. Weźmy chociażby taki przykład: panu operatorowi spycharki zawadzało parę drzew, gdy wyrównywał teren, na którym ma powstać ogródek jordanowski. Wier decyzy — drzewa ściąć! Mieszkańcy okolicznych bloków wystosowali protest, solidarnie podpisali petycję, w wyniku czego pan jeźdźca na spycharce miał trochę więcej roboty, ale ocalało kilka wiekowych drzew, które nadal zdobią osiedle i w upalne dni dają dzieciom cień. Władza podjęła rozsądną decyzję, lecz gdyby te drzewa padły pod siekierami, wówczas usprawiedliwiano by tę decyzję...

Więc warto walczyć o drobne sprawy, które w sumie urastają do rangi problemu. Dlaczego zieleni miejska jest aż tak ważna? Zanim odpowiem na to pytanie, podam kilka przykładów, które zacerpnąłem z dokumentacji Zarządu Okręgu Ligi Ochrony Przyrody. Dotyczą one wprawdzie tylko Rzeszowa, ale podobne możemy znaleźć także w innych miastach, wobec czego ponizsze uwagi mają charakter ogólniejszy.

Wyjdźmy od oczywistego stwierdzenia: właściwie każde z miast Rzeszowszczyzny przeżywa okres rozbudowy: powstają nowe osiedla mieszkaniowe, zakłady pracy i obiekty społeczne czy kulturalne. To wszystko nas cieszy, bo nowe przedsiębiorstwo daje pracę, osiedle — upragnione mieszkanie, placówka kulturalna — rozrywkę itp. Pozornie wydawałoby się, że wobec tych zasadniczych problemów nie mają większego znaczenia drzewa, trawka, kwiaty i w ogóle zieleni miejska. Tak, to prawda, ale np. zaporą na Wisłoku jest niezwykle ważna

nym nagrzewaniem pojemników, powstrzymując proces gnicia odpadków, nie mówiąc już o tym, że roślinność ta spełniałaby także rolę schroniska dla ptactwa, które w naszych miastach jest nader potrzebne.

Skoro już mowa o takich drobnych sprawach, to trzeba zwrócić uwagę na nasze dzieci, które jakże często bezmyślnie i bez litości tępią świat zwierzęcy parków miejskich, pioszą ptaki i wiewiórki tak np. hołubione w warszawskich Łazienkach, że tam nie obawiają się jeść z ręki spacerowiczów.

Grzechem powszechnym jest nieszanowanie tej zieleni, którą w naszych miastach posiadamy. Przykładów na potwierdzenie tej tezy jest bez liku: obcinane siekierą gałęzie drzew, przybijane gwoździami do pni flagi i inne elementy dekoracyjne, nie koszone chwasty na podmiejskich bulwarach, a nawet wokół ważnych obiektów publicznych.

Przykłady można mnożyć, można wymienić wiele miast i osiedli, w których nie przywiązuje się większej wagi do zieleni. Czyżby wynikało to z niewiedzy, dlaczego zieleni miejska jest tak ważna? Przede wszystkim trzeba podkreślić funkcję zdobniczą zieleni, bez której nowe miasto upodabnia się do betonowych bunkrów, szarych, dusznych, zapyłonych. Zieleni jest także płucami naszych miast. Specjaliści twierdzą, że rocznie spada na 1 km kw. 350 ton zanieczyszczeń; zieleni chroni nas przed pyłami itp. Dość powiedzieć, że 1 m kw. blaszek liściowych zatrzymuje na sobie 1,5 kg pyłów.

Powietrze, którym w miastach oddychamy, nasycone jest niebezpiecznymi dla organizmu związkami. Im większe miasto tym większy stopień zanieczyszczenia powietrza; podobno policjanci regulujący ruch przed operą wiedeńską mdleli z powodu nadmiernego zanieczyszczenia powietrza wydzielanymi samochodów. Nasze miasto nie są tak duże jak Wiedeń, ale i u nas nie brak w powietrzu związków węgla czy siarki. Współczesna technika jest w pewnej mierze bezradna wobec tych zanieczyszczeń powietrza, nie może nas w pełni uchronić przed szkodliwym działaniem dymów fabrycznych itp. Nie wnikać w szczegóły, bo to domena specjalistów, dymy fabryczne zawierają substancje szkodliwe dla dróg oddechowych i układu krążenia. Szkodliwe są także wydzieliny pojazdów mechanicznych, których w naszych miastach ciągle przybywa. Ktoś obliczył, że zanieczyszczone powietrze powoduje olbrzymie straty materialne, sięgające 30 mln dolarów rocznie.

Ochrona powietrza atmosferycznego w miastach, zwłaszcza przemysłowych, spędza sen z powiek specjalistom wielu dyscyplin: instaluje się filtry w kominach, usuwa się uciążliwy przemysł z pobliża osiedli mieszkaniowych, przedsiębiorstwa bywają zmuszane do zastosowania takiej technologii, która gwarantuje mniejsze zanieczyszczenie powietrza.

W dużej mierze jest to cena placowana za postęp, za rozwój pewnych gałęzi przemysłu, do których gospodarka narodowa przywiązuje duże znaczenie. Kto jest rozsądny, ten nie żąda ograniczenia np. rozwoju przemysłu siarkowego, chociaż jak już powiedziałem nauka jest jeszcze bezsilna wobec szkodliwego działania związków tego pierwiastka. Szkodliwe wyziewy wydalały elektrownie, w których spala się węgiel, cementownie, wapienniki i wiele innych zakładów przemysłowych, zwłaszcza chemicznych.

Chodzi o to, by rezerwy nie skrywały tego niebezpieczeństwa, by nie skąpiły środków na badania naukowe, które chroniłyby nas przed niezamierzonymi, ubocznymi skutkami industrializacji. Stosuje się różne filtry, buduje się wysokie kominy, którymi dymy fabryczne uchodzą wysoko w powietrze, ale jednym z najbardziej niezawodnych środków ochrony jest właśnie zieleni. Zadrzewione obszary w pobliżu fabryk lub osiedli mieszkaniowych powodują wymianę powietrza, co w efekcie przynosi usuwanie szkodliwych gazów. Konieczne są więc pasy ochronne wokół przedsiębiorstw prze-

DRZEW...

myślowych, konieczne są też zadzielone tereny w miastach i osiedlach.

Nie chodzi tu o zielen w ogóle, lecz o odpowiednie gatunki drzew, np. w pobliżu pewnych zakładów przemysłowych pożądane są drzewa liściaste, które co roku tracą liście, więc w przeciwnieństwie do iglastych nie absorbują zbyt wiele substancji trujących.

Mówiąc o walorach zieleni miejskiej warto wspomnieć, że w obrębie miast występuje zjawisko obniżenia opadów, czego następstwem jest m. in. zjawisko stepienia, erozji i zaniżania poziomu wód gruntowych. I znów trzeba zwrócić uwagę na niezwykle ważną funkcję zieleni miejskiej; zapewnia ona miastu wilgotność, oczyszcza powietrze od pyłów itp. chroni nas także przed hałasem, jakże groźnym wrogiem mieszkańców miast. W jednym z pism warszawskich przeczytałem obliczenia dra J. Sadowskiego, który w oparciu o przeprowadzone badania twierdzi, że np. park o szerokości 50 m zmniejsza hałas komunikacyjny o 20-30 decybeli; żywopłot o wysokości 2 m i szerokości 1,5 m tłumia hałas samochodu ciężarowego o 11 db (decybeli), zimą zaś, gdy drzewa i krzewy są

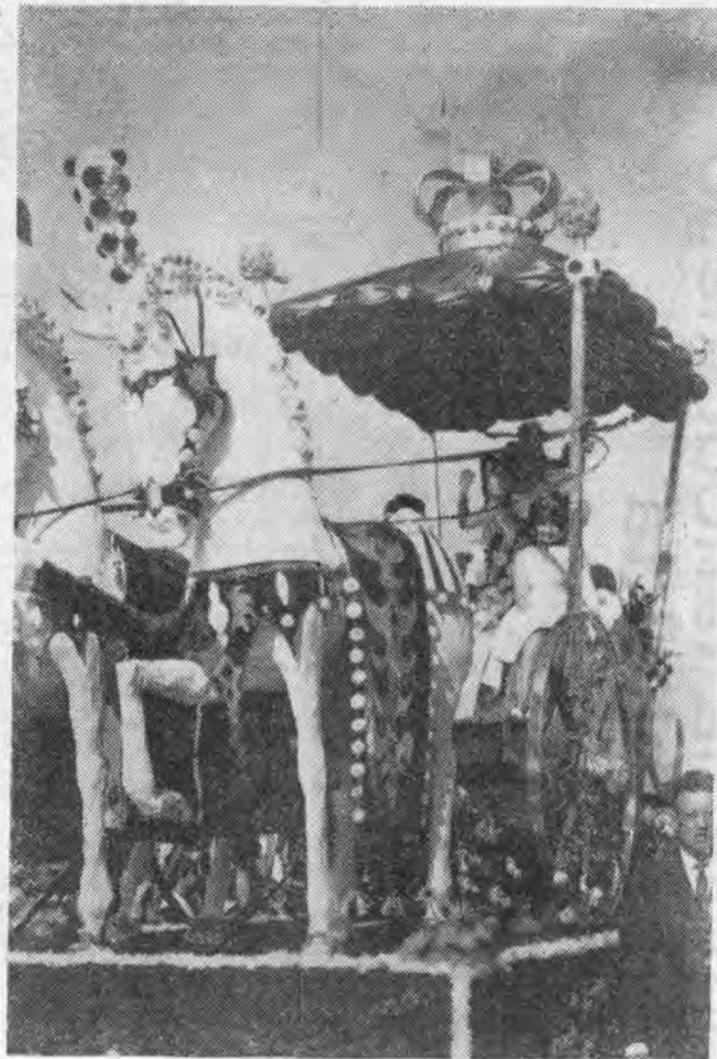
bez liści — o 6 db; dwa rzędy młodych lip, przedzielone 8-metrowym trawnikiem, zmniejszają głośność motocykla o 6 db; 3 rzędy klonów o szerokości 22 m zmniejszają hałas ciężarówki o 10 db; ten sam efekt dają dwie 1,8-metrowe przegrody z dzikiego wina oddalone od siebie o półtora metra.

Zielen chroni nas przed hałasem, którego dotkliwe skutki coraz bardziej odczuwamy. Uzasadnione są więc postulaty tworzenia tzw. parków ciszy, w których zakazany byłby ruch pojazdów mechanicznych, a bardziej radykalni domagają się nawet, i chyba słusznie, wyłączenia odbiorników tranzystorowych, które płoszą ptactwo i zwierzęce, nam zaś uniemożliwiają delektowanie się ciszą przyrody.

Zielen miejska spełnia więc wielorakie funkcje: zdobi miasto, jest ważnym czynnikiem klimatycznym, niweluje skutki zanieczyszczenia powietrza, chroni nas przed hałasem. Dlatego ochrona tej zieleni, zadrzewianie miast czy tworzenie pasów ochronnych stanowi w okresie urbanizacji i industrializacji szczególnie ważne zadanie. Jak to robić — niech decydują specjaliści.

Wydaje mi się, że społeczna ranga tego zagadnienia nie jest powszechnie doceniana. że w perspektywicznych planach rozwoju miast i osiedli nie przywiązuje się należytej wagi do terenów zielonych. Weźmy chociażby Rzeszów; o planach przestrzennej zabudowy tego miasta pisałem w dwóch obszernych artykułach, nie wyczerpując oczywiście tematu, gdyż zagadnienie jest zbyt obszerne. Ambicją urbanistów jest przekształcenie Rzeszowa w nowoczesne miasto, ale czy 100-160-tysięczna metropolia, bo takim w przyszłości miastem ma być stolica południowo-wschodniego regionu, ma zapewnić odpowiednie tereny rekreacyjne? Nie jestem urbanistą, więc nie będę ferował ocen, ale podzielam poglądy tych, którzy twierdzą, że nie będziemy mieli za dużo obszarów zielonych

Jeśli chodzi o Rzeszów, to przewidziane są ośrodki wypoczynkowe w Głogowie, Kamionce czy nad projektowanym zalewem w Dynowie, ale ponad 100-tysięczne miasto powinno mieć w obrębie swoich granic tereny rekreacyjne, szczególnie dla tych, którzy nie mają samochodów, dla pracowników tych instytucji, które nie będą mieć własnych ośrodków wypoczynkowych poza miastem. Dlatego szkoda nam każdego drzewa, każdego skrawka zieleni; roślinność można zniszczyć szybko, lecz by ją wyhodować — trzeba lat.



Na zdjęciu: Miss Normandii w korowodzie karnawałowym — 18-letnia studentka uniwersytetu w Caen Jeannette.

Emilian Bliźniak

Francuskie Święto Kwiatów

„Fête du Fleur” — francuskie Święto Kwiatów odbywające się rokrocznie w Cabourgu, w jednej z najpiękniejszych, obok Deauville-sur-Mer, nadmorskich miejscowości francuskiej „Rivieri Północy”, leżącej nad kanałem La Manche. Impreza ta każdego roku w pierwszą sobotę, niedzielę i pierwszy poniedziałek sierpnia ściąga do Cabourga całą masę turystów tak francuskich, jak i zagranicznych. Szczególnie licznie są tu reprezentowani, z turystów zagranicznych, wielcy miłośnicy kwiatów, Holendrzy i Anglicy, nie mówiąc już o prawdziwym najeździe turystów francuskich, między innymi w dużej ilości z Paryża.

Monsieur Bernard Ciseaux

Jednym z takich zaprzysiężonych właśnie wielbicieli „kwiatowego karnawału” w Cabourgu był monsieur Bernard Ciseaux — właściciel dużego sklepu z lalkami na rogu ulicy Maurice Lachotre w podparyskiej miejscowości Drancy. Pana Ciseaux poznałem jeszcze jako student w 1960 r., wynajmował on wtedy cały garaż u pana Franciszka Sołtysa, właściciela domu, w którym mieszkałem. W pierwszej części garażu monsieur Ciseaux trzymał starą pocztówkę z lalką marki „Citroen”, w drugiej zaś olbrzymie pudła z różnymi rozmiarami lalek. Lalki te znane były nie tylko z witryny sklepowej i detalicznej sprzedaży w sklepie na rue Maurice Lachotre, ale prawie w każdą niedzielę monsieur Ciseaux wyjeżdżał ze swoimi lalkami na tzw. „fête patronale” — francuskie święto patrona odbywające się raz w roku w każdej większej miejscowości Francji. Ta 3-dniowa impreza połączona jest z zabawą taneczną na koszt mera oraz z licznymi imprezami rozrywkowymi typu

„wesołego miasteczka” i „luna parku” nie mówiąc już o przebogatej części gastronomicznej z tradycyjnymi frytkami na czele. Stoisko z lalkami monsieur Ciseaux i ich loteryjna sprzedaż połączona z niezmiernie krzykliwą reklamą stanowiły żelazny punkt programu niejednego „fête patronale”. Przejechał monsieur Ciseaux swoją starą, dychawiczną bagażówką prawie całą Francję, a obowiązkowo w każdym roku wyjeżdżał na Święto Kwiatów w Cabourgu. W wolnych chwilach od pracy w sklepie, zwłaszcza wieczorem monsieur Ciseaux lubił przychodzić do pana Franciszka na pogawędkę, na małą lampkę starego burgundzkiego wina oraz na kilka partii popularnej we Francji gry w karty — belota. Ja w tym czasie robiłem najczęściej panu Ciseaux losy do lalkowej loterii, w zamian za co mogłem się zawsze zabrać w każdą niedzielę samochodem poza Paryż, co pozwoliło mi w sposób bezdewizowy poznać bliżej piękno tego niezmiernie ciekawego pod każdym względem kraju.

W drodze do Cabourga

O moim wyjeździe z Paryża razem z panem Ciseaux i jego lalkami na Święto Kwiatów do Cabourga zadecydowały 3 względy:

po pierwsze wyjazd do Normandii z dusznego i zakurzonego Paryża stanowił doskonały relaks i przerwę w trakcie żmudnej pracy naukowej, po drugie była okazja zwiedzić po drodze kilka ciekawych pod względem zabytków i architektury miast, po trzecie — odwiedzić starych znajomych w Normandii. Wyjazd nastąpił w piątek przed pierwszą niedzielą sierpnia, dość wcześnie rano. Trasa prowadziła przez Rouen, Havr, Tancarville, Deauville-Trouville do Cabourga.

W mieście Joanny d'Arc

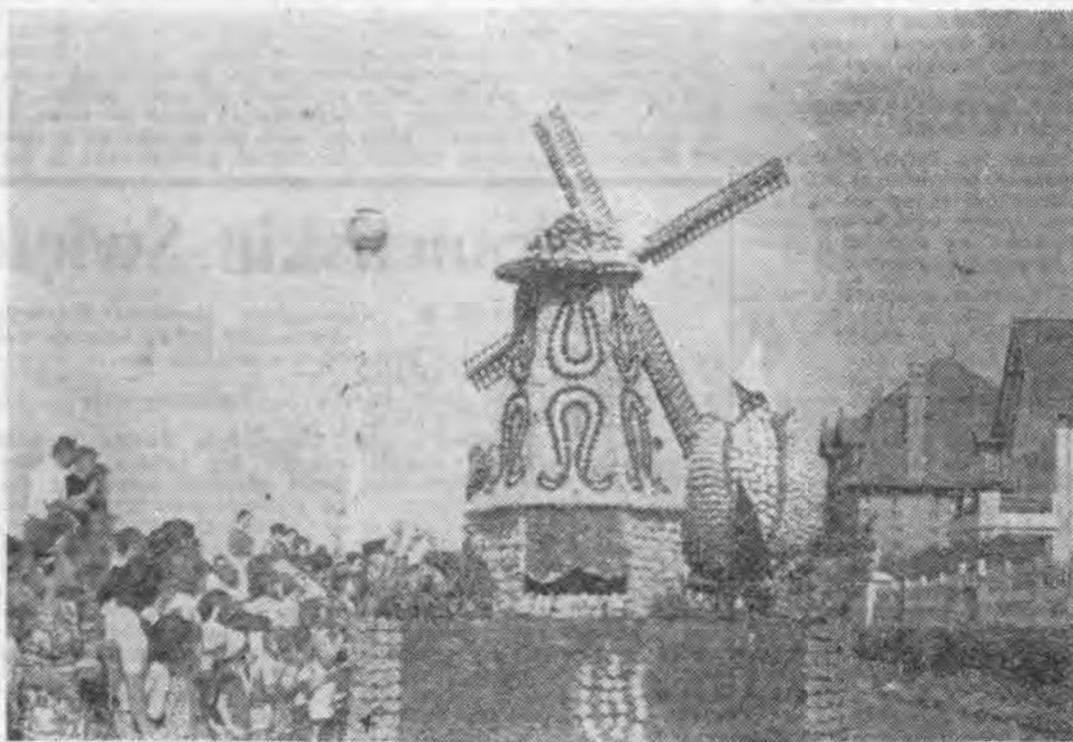
Ruen, stolica departamentu Seine-Maritime, miasto portowe nad Sekwaną, odległe o 100 km od Paryża stanowiło pierwszy etap naszej podróży. 100-kilometrowy odcinek route nationale Paryż — Rouen pokonałszy w ciągu niespełna półtorej godziny, tak, że już o godzinie 7 rano na horyzoncie przed nami zarysowały się wieże starej gotyckiej katedry Notre Dame (1301 r.) w Rouen. 3-godzinny postój w mieście pozwolił nam nie tylko na zjedzenie śniadania, lecz również na załatwienie panu Ciseaux spraw handlowych, a mnie przynajmniej na pobieżne zwiedzenie portu i miasta. Mimo ранней pory w mieście, a w szczególności w porcie panował ożywiony ruch.

Miasto tętniło już swoim normalnym, codziennym życiem. Moje spotkanie z Rouen i jego zabytkami miało nader miły i uroczysty charakter, gdyż rozpoczęło się od wizyty na polskim frachtowcu „Skierce”, który stał zacumowany w nabrzeżu portowym już od kilku dni, właśnie kończono wyładunek przywiezionych ze Szczecina desek. Wizytę na statku zakończyła tradycyjna lampka wina i na pożegnanie „bon voyage” — szczęśliwej podróży. Ponad godzinny pobyt na statku ograniczył wprawdzie w znacznym stopniu możliwości zwiedzenia wszystkich zabytków miasta, niemniej jednak udało mi się zwiedzić muzeum Joanny d'Arc, jej pomnik i kościół wybudowany ku jej czci w miejscu, gdzie została spalona przez Anglików w 1431 r. Pamięć o tej prostej, wiejskiej dziewczynie, która w czasie wojny stuletniej stanęła na czele wojsk francuskich odnosząc przełomowe w losach wojny zwycięstwo nad Anglikami pod Orleanem w 1429 r. — jest w całej Francji, a szcze-

gólnie w Ruen niezmiernie żywa. Świadczyły o tym bukiety żywych, świeżych kwiatów złożonych u stóp jej pomnika. Joanna d'Arc zwana przez Francuzów Dziewicą Orleańską na pamiątkę owego zwycięstwa, jest narodową bohaterką Francji. Wracając do samochodu udało mi się jeszcze po drodze zwiedzić Pałac Sprawiedliwości z XV wieku i szesnastowieczny pałac Burgtheroulde.

W motelu pod Cabourgiem

Miasto portowe Havr, leżące nad kanałem La Manche, było następnym etapem naszej podróży. Pobieżne tylko oglądnięcie miasta w czasie krótkiego poobiedniego spaceru pozwoliły mi stwierdzić, że ten największy port paryżerski i drugi pod względem przeładunków port handlowy Francji w niczym nie przypominał mi znanego z literatury historycznej szesnastowiecznego portu wojennego Francji, założonego w 1517 roku przez króla Franciszka I. Havr opuszczaliśmy w godzinach popołudniowych i po przejechaniu najdłuższego mostu Europy w Tancarville, wieczorem zajechaliliśmy przed gmach „Casina” w Cabourgu. W miasteczku, mimo, iż był to piątek panowała ogromna przedświąteczna gorączka. Przed „Casinem” zainstalowano 2 olbrzymie estrady, na których miały się odbywać występy artystyczne regionalnych zespołów z całej Normandii, no i oczywiście ogólna bezpłatna ludowa zabawa dla wszystkich. Kilkanaście metrów dalej od estrady rozsiadło się francuskie „wesołe miasteczko” ze wszystkimi jego szaleństwami i zabawami, a tuż obok niego gastronomia ze wszystkimi specjalnościami francuskiej kuchni od ślimaków począwszy, a na frytkach skończywszy. Wszystko to już w przeddzień Święta Kwiatów funkcjonowało, ciesząc się od pierwszej chwili olbrzymią frekwencją tak ze strony turystów, jak i miejscowej ludności. Samo miasteczko wyglądało wprost fantastycznie. Nie chciało się mi absolutnie wierzyć, że może być miasto tak śliczne i pomysłowo ukwiecone, co przy bogatej i różnokolorowej oprawie świetlnej stwarzało wrażenie jakiegoś miasta z bajki. Nie jest więc absolutnie



Wiatrak normandzki — II nagroda.

Fot. E. Bliźniak

(Cią dalszy na str. 4)

Ryszard Dzieszyński

Wspomnienia łańcuckiego architekta



CAF — fot. A. ŁOKAJ

Z nastaniem swego panowania ostatni król polski, Stanisław August, zaczął urządzać Zamek Królewski w Warszawie w myśl swoich zamysłów i planów. Zatrudnił szereg polskich i cudzoziemskich artystów i architektów, aby realizowali to, co zamierzał uczynić. Wśród nich znaleźli się Christian Piotr Aigner, Marcello Bacciarelli oraz Wirgiliusz Bauman.

Aigner zasłynął później jako architekt, przedstawiciel polskiego klasycyzmu, Bacciarelli, jako malarz nadworny króla, portrecista, twórca obrazów historycznych i plafonów. A Wirgiliusz Bauman?

Ten ostatni nie zrobił na dworze królewskim wielkiej kariery. Po wykonaniu zleconych prac, zniknął bez śladu. Choć niezupełnie, bo wiadomo, że miał syna Fryderyka, który urodził się w 1760 r. w Mitawie, a nauki pobierał w Berlinie i w Warszawie. Fryderyk nie poszedł w ślady ojca, który był malarzem. Wybrał inną dziedzinę sztuk plastycznych: rzeźbę. Ponadto studiował architekturę. Sztukatorstwa i rzeźby uczył się u Graffa, nadwornego rzeźbiarza Stanisława Augusta. Będąc również uczniem prof. Aignera, brał udział w budowie Łazienek. Gdy wybuchło powstanie kościuszkowskie, stanął w szeregach warszawskich powstańców. Wprawdzie pochodził z rodziny niemieckiej, ale skoro jego rodzina już w drugim pokoleniu służyła polskiemu królowi i jadła polski chleb, poczuł się Polakiem. Jego postawa patriotyczna została wystawiona na trudną próbę, z chwilą włączenia się do wojny wojsk pruskich, ale Bauman okazał się lojalnym poddanym Rzeczypospolitej i dzielnie służył w oddziałach warszawskiej Gwardii Muncypalnej.

Po upadku powstania Bauman został zaproszony przez ks. Czar-

toryskiego do Puław, gdzie pracował przy budowie Świątyni Sybilli i kilku mniej znanych obiektów, zaprojektowanych przez Aignera. Przebywał tam przez cztery lata, ozdabiając szereg dworskich budynków sztukami i innymi dekoracjami. Następnie w 1798 r. ściała go do Łańcucka ks. Izabela Lubomirska.

Bauman był już wtedy ceniony, jako pierwszorzędnny rzeźbiarz i dekorator. Wyróżniał się przede wszystkim dużym znawstwem materiałów. Wprawdzie w swoich pomysłach był mało samodzielny, ale jego dekoracje sztukowe są wytworne, harmonijne i skomponowane z dużym smakiem, a poza tym odznaczają się trwałością i sprawnością techniczną. Bauman naśladował w swoich pracach styl Ludwika XVI, empire i gotyk romantyczny, modelując go nader starannie i subtelnie.

Jedną też cechą charakteru zyskiwała mu możnych klientów. Bauman był znany nie tylko ze swej, typowo niemieckiej, skrupulatności, ale również z nieposzlakowanej uczciwości.

W Łańcucie pracował przy oranżerii, sali balowej, mozaikowanej kaplicy i pokoju bawialnym. W Łańcucie czuł się doskonale, zaaklimatyzował się tam na dłuższy czas, a nawet ożenił z emigrantką belgijską Małgorzatą de Bellay. W 1809 r. urodził mu się syn Antoni.

Fryderyk Bauman pracował też przy przebudowie teatru. Jego syn, jako mały chłopak oglądał w nim przedstawienia, odbywające się dwa razy w tygodniu i grywane przez zespół amatorski pod przewodnictwem jednego z aktorów lwowskich, bawiącego stale w Łańcucie, jako reżyser. Antoni pozostawił również opis zamku łańcuckiego z tamtych lat:

„Miał ów zamek most zwodzony ze strażnicą w kształcie pię-

trowej wieży, w której na dole mieściła się duża kordegarda, z małą stacyjką o jednym zakratowanym okienku, na piętrze zaś duża sala z trzema strzelnicami, w której stały cztery armatki na lawetach. Most ściałano na noc, na długim łańcuchu, w izdebce zaś koło kordegardy mieszkał stróż, ogromny mężczyzna zwany Kaszubą. Mury forteczne właśnie rozbierno, przed fosą zaś zamkową biegł dodatkowo podwójny szpaler starych lip.”

Antoni pamiętał również przemarsz wojsk rosyjskich wracających w 1815 r. po pokonaniu Napoleona. Zaobserwował wtedy, że piechota rosyjska nie miała płaszczy, tylko krótkie burki, przy ładownicach zamiast rzemieni pasy parciane, a czeka w formie głów kukru, z czarnym orłem na przedzie. Widział, jak oficerowie kawalerii brutalnie odnosili się do swoich podwładnych, bijąc ich pięściami po twarzy. Księżna

wydała przyjęcie dla korpusu oficerskiego armii. Po prawej jej ręce zasiadł naczelny dowódca wojsk, generał o bliżej nieustalonym nazwisku. Bauman uważał, że jest to feldmarszałek Aleksander Suworow, ale nie mógł to być ów sławny wódz z wojny tureckiej, sprawca rzezi Pragi i zwycięzca pod Cassano, nad Trebią w Italii, albowiem nie żył już od 15 lat, zmarłszy ze zmartwienia wkrótce po klęsce, jaką zadał mu w Alpach gen. Massena. Kampania francuska 1814 r. nie wyłoniła wybitnych dowódców w armii rosyjskiej, tak jak to miało miejsce w 1812 roku pod Moskwą i pod Berezyną

Rosyjski generał goszczony przez księżnę miał szerokie bary, żółtą ospowatą twarz, dwa podbródki, a złote epolety na ramionach czyniły go grubszym. Rzeczywiście — nie prześcigał on uroda wielkiego wodza rosyjskiego. Za jego fotelem stał kamerdyner i czujnie pilnował, aby kielich dostojnego gościa nie pozostał próżny. Miał przy tym mnóstwo roboty, bo generał ujrzałszy wino w kieliszku, wypijał je jednym haustem. Inni oficerowie również mieli wina pod dostatkiem, ale musieli je nalewać sobie sami. Nie trzeba ich było długo prosić. Czynili to z ogromnym zapalem, a służba ledwo nadążała z przynoszeniem nowych butelek.

Po śmierci księżnej Lubomirskiej w 1817 r. Baumanowie przenieśli się do Lwowa. Fryderyk nadal wykonywał prace architektoniczne, rzeźbiarskie i sztukatorskie. Miał ogromną ilość klientów rekrutujących się spośród szlachty galicyjskiej i bogatego mieszczaństwa. Odnawiał m. in. sławną kamienicę Sobieskich we Lwowie, oraz budował dom wedle projektów Józefa Bema, podówczas skromnego oficera, późniejszego wodza rewolucji 1848 r. na Węgrzech. Bem miał we Lwowie bogatego stryja, kanonika, u którego mieszkał i który wystarał się o powierzenie mu wykonawstwa projektów budowlanych, aby bratanek mógł uzupełnić swe skromne oficerskie pobory.

Fryderyk Bauman wykonał również wiele zamówień i prac renowacyjnych na terenie wsi i małych galicyjskich miasteczek, które dzisiaj znajdują się na terenie województwa rzeszowskiego, m. in. w Jarosławiu i Przeworsku. Tam też zmarł w 1845 roku.

Syn Antoni początkowo uczył się w szkole jezuickiej we Lwowie. Ale nie podobało mu się tam zanadto. Wychowawcy dysponowali bowiem oryginalnymi środkami pedagogicznymi, od których aż cierpła skóra. Mianowicie krnąbrni uczniowie byli zabierani do wojska austriackiego. Młody Bauman był raz świadkiem takiej obławy. Do klasy wkroczył nauczyciel w asyście oficera komisji poborowej oraz plutonu żołnierzy. Wyczytano listę oraz dekret powołujący uczniów do wojska. Wszczął się nieopisany popłoch. Uczniowie zaczęli wymykać się z klasy. Wielu z nich złapano, ale Baumanowi udało się zbiec. Od tej pory nie pokazał się w szkole. Zaczął praktykować u ojca

i po pewnym okresie zyskał kolejno uprawnienia czeladnicze, a potem mistrzowskie.

Był świadkiem upadku wieży ratuszowej we Lwowie w 1827 r., który opisał potem w swoich wspomnieniach. Coś głucho stęknęło w środku wieży, która nagle zaczęła pęcznieć w oczach. Potem kopuła przechyliła się na bakier i raptem wszystko runęło, wzbijając ogromny kurz. Zginęło wtedy kilkanaście osób, dużo zostało rannych. Wejście do którejś gospody zostało kompletnie zasypane i później ekipy ratownicze z trudem przebiły się do uwieczonych.

Antoni Bauman był też świadkiem rewolucji krakowskiej 1846 roku. Przeżył wtedy silny obstrzał na krakowskim Rynku i z trudem uniknął kul austriackich, idąc do domu.

Fryderyk Bauman zostawił dobre wspomnienie w Łańcucie. Wprawdzie nie żyła już dawno jego protektorka, księżna Lubomirska, a i sam Fryderyk też z wolna obracał się w proch, ale spadkobiercy księżnej, Potoccy przypomnieli sobie o dobrych tradycjach architektonicznych rodziny Baumanów i przyjęli Antoniego do pracy na zamku. Zaczął więc Antoni Bauman długoletnią służbę u ordynatów łańcuckich, zresztą nie tylko u nich, ale u wielu innych Potockich. Spod jego ręki wyszły neogotyckie ozdoby fasad i dekoracje niektórych wnętrz zamkowych. Wiele z tych ozdób usunięto podczas renowacji zamku przeprowadzonej w latach 1894—1905. Z drugim ordynatem hr. Alfredem Potockim, austriackim ministrem rolnictwa, premierem, a potem namiestnikiem Galicji jeździł do Wiednia, gdzie zasięgał rady nadwornych architektów, co do przebudowy fasad pałacu w Krzeszowicach, oraz kaplicy Potockich na Wawelu. W swoich wspomnieniach przedstawił swe wyjazdy do naddunajskiej stolicy w innym świetle. Mianowicie hrabia Alfred zawiązał szkice fasady celem pokazania ich radcy cesarskiego dworu Romano, który był tak zachwycony tymi projektami, że zaprzagnął poznać ich twórcę. Wtedy dopiero Bauman zjawił się w Wiedniu. Podczas „koleżeńskiej” rozmowy radca Romano zapytał łańcuckiego architekta: ile wynosi jego honorarium za tego rodzaju prace. Gdy Bauman wymienił sumę, Romano pokiwał głową i stwierdził: „Bei Ihnen schätzt man das Genie wenig”.

Niemniej trudno jest we wszystkim wierzyć Antoniemu Baumanowi. Swoje wspomnienia spisywał, mając 82 lata, mogło mu się więc to i owo pomylić, mógł coś zapomnieć, dodać, przeinaczyć, jak chociażby z tym rosyjskim generałem. Niemniej pamiętnik ten zawiera momenty ciekawe, które uchodziły ongiś uwagi historyków, jak np. wiele szczegółów z życia rodzinnego Potockich. Pamiętnik ten nie został wszakże nigdy wydrukowany, znamy go tylko ze strzeszczeń, na których opierał się też m. in. prof. Józef Piotrowski, autor monografii o zamku łańcuckim.

Antoni Bauman zmarł w 1895 roku.

Francuskie Święto Kwiatów

(Ciąg dalszy ze str. 3)

czymś przypadkowym to, iż Święto Kwiatów odbywa się właśnie w Cabourgu, a nie gdzie indziej. Nie znajdziemy tyle kwiatów co w Cabourgu nawet w tak słynnych uzdrowiskach i kąpieli-skach, jak Deauville-Trouville, Nicei, Cannes czy St. Tropez.

Właściwie uroczystości i imprezy związane ze Świętem Kwiatów odbywają się w sobotę i niedzielę oraz poniedziałek. Już na kilka dni przed owym „Karnawalem Kwiatowym” wszystkie miejsca w hotelach czy domkach campingowych są zajęte. Nic więc dziwnego, że obaj z panem Ciseaux mieliśmy poważne trudności w znalezieniu noclegu, dopiero motel kilka kilometrów za Ca-

bourgiem, niedaleko Franzville dysponował jeszcze kilkoma wolnymi miejscami.

Kwiatowe corso

Inauguracja Święta Kwiatów odbywa się zawsze na placu przed gmachem merostwa, skąd po przemówieniu mera wyrusza w godzinach popołudniowych wzdłuż nadmorskiej promenady i wyznaczonymi ulicami miasta olbrzymie korowód kwiatów w postaci najprzeróżniejszych figur. Wszystko to w bardzo wolnym tempie jedzie na platformach wozów, samochodów i traktorów. Trzy razy w każdy dzień dookola po wyznaczonej trasie. Specjalnie powołane jury z merem na czele wybiera i przyznaje na-

grode pierwszą, drugą i trzecią najpiękniejszym kreacjom kwiatowym. Oglądany przeze mnie korowód prowadzili dwaj policjanci ubrani galowo i jadący bardzo wolno na motocyklach. Tuż za nimi grupa małych, ubranych na białą dzieci z girlandami kwiatów w rękach. Właściwy korowód figur kwiatowych otwiera rala ludowa kapela normandzka i tuż za nią jadący na platformie samochodowej zdobywca drugiego miejsca, wspaniały wiatrak normandzki, zaś obok kwiat róż, w której płatkach siedziała ma lutka dziewczynka w regionalnym stroju. Niebawem sensację wywołała figura kwiatowa przedstawiająca olbrzymiego motyla i obok niego dwa kwiaty, w których kielcach siedziały 2 naj-

Zbigniew Wawszczak

Gdzie rejent wadził się z Cześnikami

„Hej! Serwacy! daj gwintówkę
Niechaj strącę tę makówkę —
Prędko!”
(A. Fredro: „Zemsta”)

KIEDY CZŁOWIEK wspina się na zamkowe wzgórze, zagląda w wykonane przez archeologów wykopy, kiedy z niepokojem zadziera głowę w górę czy jakiś kamień z postrzępionych murów nie runie mu na głowę — wtedy jako żywo staje mu w wyobraźni barwne postacie krewkich bohaterów fredrowskiej „Zemsty”, szczypanych pieniacy i zawadziackich rębajłów, którzy jak każe wierzyć legenda, osnuta wokół ruin, tutaj właśnie wodzili się za łby, klócili, spierali, napadali, „prawem i lewem” dochodzili swych racji. Zresztą nie tylko legenda, rzeczywiście zamkiem wiały kiedyś dwa rody szlacheckie, Skotnickich i Firlejów i echa toczone przez nich sporów, zapisane w zamkowych aktach, dały panu Aleksandrowi asumpt do napisania nieśmiertelnej „Zemsty”, było zaś rzeczą pisarza, bohaterów i intrygę tak zożyć, żeby ponad sto lat od chwili napisania tej sztuki, nie schodziła ze sceny, by ciągle bawiła nowe pokolenia Polaków, by stale poświęcał jej uwagę historycy literatury, by wreszcie filmowcy dali się porwać nieodpartemu urokowi fredrowskich koncepcji. A swoją drogą zadziwiająca jest niezmienna popularność „Zemsty”, wobec której czas, tak zwykle niszczący dokonania pozorne, okazał się bezradny.

Więc towarzyszą mi obrazy z „Zemsty”, gdy rozmawiam na zamkowym wzgórzu z archeologami i konserwatorami, którzy trują się tutaj, aby odsłonić tajemnice, jakie kryją w sobie zamkowe mury i podziemia. Przyjechałem zaś tutaj zwabiony pogłoskami o kiepskim stanie historycznych ruin, na które co najmniej od półwiecza patrzymy w Polsce z szacunkiem i które w tym czasie każde właściwie pokolenie w jakiś sposób usiłowało zabezpieczyć przed zagładą.

Czy zatem prawdziwe są pogłoski o katastrofalnym stanie resztek karpackiej twierdzy? Czy władze konserwatorskie nie podejmują wysiłków, aby ochronić to, co z nich pozostało? Wybrałem się, aby na miejscu zobaczyć na ile pogłoski te odpowiadają prawdzie, co jest w nich faktem, a co zmyśleniem.

1. W poszukiwaniu śladów nie tylko bohaterów „Zemsty”...

Od 67 roku trwają na zamkowym wzgórzu prace badawcze,

gwoili prawdy trzeba przypomnieć, że jeszcze kilka lat wcześniej, rozpoczął tu eksplorację krośnieński archeolog, mgr Józef Janowski. Od trzech lat, na zlecenie konserwatora wojewódzkiego zabytków, oprócz Janowskiego, prowadzi badania specjaliści warszawscy. Badania mające przede wszystkim na celu zebranie materiałów, które posłużyłyby do opracowania dokumentacji zabezpieczającej ruiny, prowadzone przez zespół badań nad polskim średniowieczem Uniwersytetu Warszawskiego oraz zespół architektury polskiej Politechniki Warszawskiej.

O dziejach wzgórza zamkowego, na które składają się, jak chcą jedni, ruiny czterech, inni trzech zamków, wiemy stosunkowo niewiele. Kiedy pojawił się tu pierwszy człowiek, jak przebiegały, nakładały się na siebie kolejne fazy osadnictwa, czy najpierw był gródek drewniany, kiedy właściwie powstał zamek mury, jakimi ulegał przebudowom — to tylko niektóre pytania, na które próbują znaleźć odpowiedź specjaliści. Wiedza o zamku, zachowana w dokumentach, przekazach pisanych jest bardzo skąpa. Mgr Teresa Hocełowa z Krakowa zebrała archiwalne przekazy. Badania archeo-

logów i architektów, opierając się o nie, zmierzają zarazem do rozszerzenia, weryfikacji i uzupełnienia wiedzy o zamku.

— Co znaleziono dotychczas? W jakiej mierze udało się zweryfikować archiwalne dane o kamienieckim zamczysku?

— Badania archeologiczne — mówi mgr Anna Bentkowska z Zespołu do Badań nad Polskim Średniowieczem — potwierdziły wiadomości, opublikowane przed kilku laty przez mgr Józefa Janowskiego, który pierwszy kopął na wzgórzu zamkowym. W kilku wykopach napotkaliśmy, oprócz warstwy wczesnohistorycznej, również materiały halstattyczne. Odkrycia te świadczą, że początki osadnictwa na wzgórzu zamkowym należy cofnąć daleko wstecz, do okresu halstattycznego, co najmniej 500 lat przed naszą erą. Proszę jednak nie sądzić, że są to wyniki ostateczne, zamek jest ogromny, aby go dokładnie przebadać, należałoby na kilka lat zaangażować liczne ekipy badawcze.

My ograniczamy nasze poszukiwania do prac, które pozwolą na wykonanie dokumentacji trwałego zabezpieczenia ruin przed dalszym niszczeniem.

— Napotykamy na zamku —

powiano go jeszcze wcześniej, w czasach Kazimierza Wielkiego, który, jak się to popularnie mówi, „zastał Polskę drewnianą a zostawił murowaną”. Być może badania historyków architektury udziela odpowiedzi również na to pytanie.

2. Duchy Cześników czy turystów?...

Pytałem żartobliwie archeologów, czy nie objawili im się któregoś dnia Cześniki, Papkiny, Rejenty? Śmieli się z tego pytania, owszem bywają zjawy, ale bardzo realne, współczesne, są to turyści, którzy nie zawsze zachowują się w sposób kulturalny, „uwieczniają” swe nazwiska na murach, czasem beztroosko spychają w dół kamienny gruz... To na nich raczej powinni wyrzucić swój gniew, posłać swych ludzi Rejent Milczek i Cześnik Raptusiewicz...

Aleksander Fredro przeniósł rzeczywiste wydarzenia, które miały miejsce w 17 stuleciu, na koniec XVIII w. Archeologowie i architekci potwierdzają obecność w zamkowych murach śladów właśnie tamtej, siedemnastowiecznej epoki.

— Na dziedzińcu zamku wysokiego — wspomina mgr Bentkowska — odsłoniłmy wspaniałą posadzkę z XVII wieku. Posadzka ta zresztą zbliżona jest do posadzki, ułożonej w kaplicy Oświęcimów w kościele franciszkańskim w Krośnie (ta ostatnia datowana jest na rok 1648). Poza tym mamy bardzo ciekawe materiały z 16 i 17 stulecia, odkryte przez nas, jak i wcześniej przez mgr Janowskiego. Myślę tu o ślicznym zestawie kafli renesansowych, które są bardzo podobne do kafli wawelskich, tak pod

dzieja w nowych metodach, a zwłaszcza w nowych środkach, którymi w coraz szerszym zakresie dysponuje współczesna chemia. W naszym kraju prowadzone są rozmaite próby. I tak np. w Lubaniu Śląskim sklejono pękniętą wieżę ratuszową z XIII w., używając do tego celu syntetycznej żywicy. Wieża trzyma się doskonale, nie wiadomo jednak, czy żywice syntetyczne będą również tak jak w wypadku Odrzykonia, przydatne przy zabezpieczaniu odkrytych murów... Może bardziej skuteczne będą tu doświadczenia, badania, podejmowane przez doc. Domoławskiego z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Pod kierunkiem tego uczonego zabezpieczono tzw. „Pielgrzymą” w Górach Świętokrzyskich. Podobno próba ta przyniosła dobre wyniki.

W najlepszym wypadku, o czym później, do zabezpieczania postrzępionych resztek odrzykońskiego zamczyska przystąpi się dopiero w przyszłym roku, a być może dopiero za dwa lata. Warto by okres ten wykorzystać na nawiązanie bliższych kontaktów z ośrodkami naukowymi, które zajmują się konserwacją kamienia, a zwłaszcza zagadnieniem tzw. „trwałych ruin”. Nie wątpię, że ludzie zajmujący się tymi sprawami, jeżeli się do nich zwrócimy, nie odmówią swej pomocy przy ratowaniu ruin, tak mocno zrośniętych z dziejami polskiej literatury i polskiej sceny...

4. Plan ratowania odrzykońskich ruin...

Urząd konserwatorski WRN, kierowany obecnie przez mgr Inge Sapetową, opracował z grubszą plan ratowania resztek Kamieńca (z racji usytuowania na skalistym wzniesieniu, zamek odrzykoński przez stulecia nazywany był Kamieńcem, od niego też przybrali swe rodowe nazwisko potomkowie Klemensa z Moskorzowa, których znamy jako Kamienieckich).

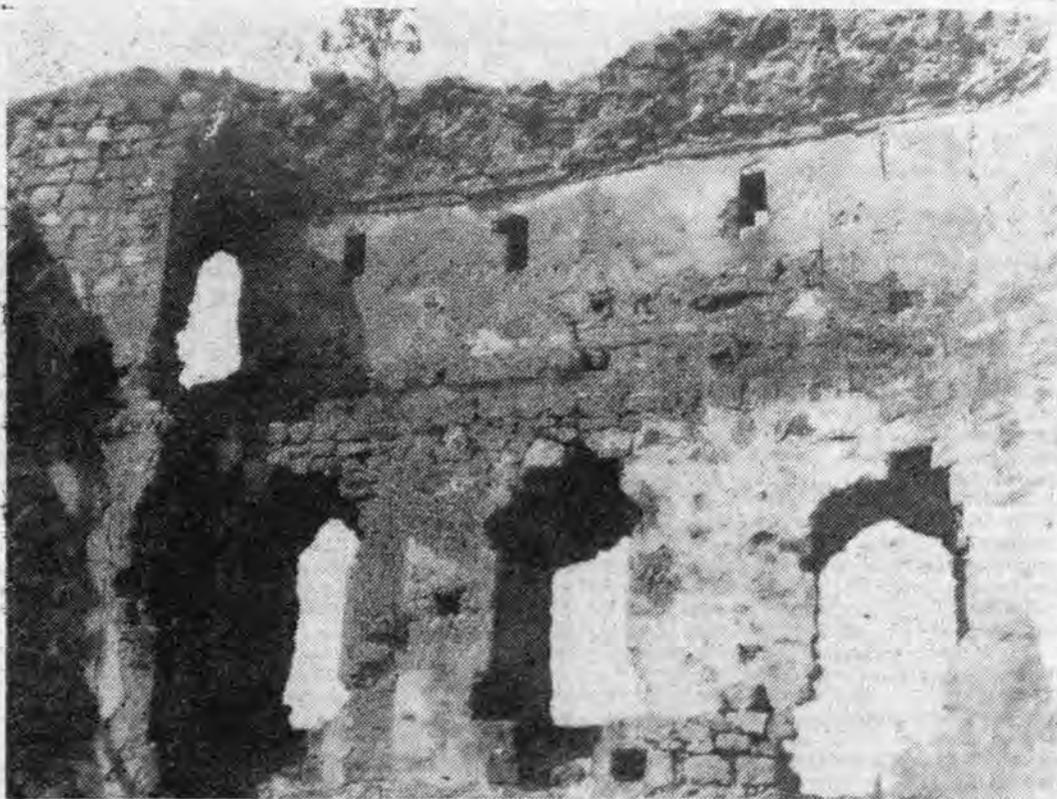
— Prace na wzgórzu odrzykońskim obliczone są na kilka, co najmniej 4—5 lat — informuje mnie mgr Inga Sapetowa. — W połowie przyszłego roku gotówi będzie dokumentacja dla wszystkich czterech części zamku. Roboty, które prowadzić będzie przedsiębiorstwo „Pracownik Konserwacji Zabytków”, postępować będą etapami, najpierw przewiduje się zabezpieczenie pozostałości zamku wysokiego, potrwa to co najmniej rok... PKZ-ty, zakład w Jarosławiu, wykonują już w tej chwili pewne prace pomocnicze na wzgórzu zamkowym. Założono rusztowania obok niektórych fragmentów murów, w najbliższym czasie podstemplowane zostaną piwnice, w których trzeba było przerwać badania archeologiczne, ze względu na grożące niebezpieczeństwo.

Konserwator zwiększać będzie co roku środki na rekonstrukcję odrzykońskich ruin. W br. przyznano na prace badawcze, dokumentacyjne i zabezpieczające 100 tys. zł, na przyszły rok przewiduje się 500 tys. zł, na lata następne również po 500, a może i więcej. Zależać to będzie od możliwości przerobowych PKZ. A jak wiadomo, możliwości zakładu jarosławskiego są, niestety, ograniczone i kredyty przyznawane co roku na konserwację rzeszowskich zabytków nie są z tego powodu wykorzystywane.

5. Odrzykoń zostanie doraznie zabezpieczony!

Teren całego zamczyska zostanie ogrodzony metalową siatką. Krok ten z pewnością nie zyska aprobaty wśród turystów, którzy będą mogli podziwiać zamkowe ruiny jedynie z pewnej odległości, dystansu, ale posunięcie to jest niezbędne. Dla dobra turystów i ruin, które są dosyć często niefrasobliwie traktowane przez wiedzących.

Wypadek wyraził nadzieję, że również mieszkańcy Podzamcza (tak się nazywa kilkadziesiąt domów liczący sobie przysiółek), patrząc będą na wiekowe ruiny nie jak na obiekt, który dostarczyć może kamienia na podmurówkę, czy drogę, ale na godne szacunku dziedzictwo, pozostawione nam przez przodków, które trzeba przekazać następnym pokoleniom!



„Cześnikowe mury zostaną zabezpieczone”.

Fot. ZB. WAWSZCZAK

piękniejsze dziewczęta Cabourga. Kreacja ta zdobyła zaszczytne i miejsce. Na uwagę zasługują również zdobywczy trzeciego miejsca, jadąca na platformie przepiękna kaczka. Oczywiście trudno było odmówić oryginalności i pomysłowości innym figurom kwiatowym, chociażby takim jak lódz Normanów czy olbrzymi słonecznik, pod którym siedziała i grała ludowa kapela. Codzienne korowody kwiatów kończyły występy regionalnych zespołów artystycznych i ogólna ludowa zabawa. W ostatnim dniu Święta Kwiatów, odbył się wybór miss Normandii, którą została 18-letnia studentka z uniwersytetu w Caen, piękna czarnooka Jeannette.

„Cognac de Normandie”

Tak nazywają wszyscy w Normandii popularny winiak z ja-

blek, zwany tu również Calvą lub po prostu calvadosem. Jest to 75 proc. wódka fabrykowana przez farmerów w departamencie Calvados ze sfermentowanego soku jabłkowego zwanego tam sidr. W smaku absolutnie w niczym nie ustępuje takim firmowym koniakom, jak Martel czy Corvoisier. Wśród uczestników „Kwiatowego Karnawału” nie było chyba nikogo, kto nie spróbowałby jakoś ma smak „Cognac de Normandie”. Wypiliśmy i my obaj z panem Bernardem. On za uśmiech fortuny — sprzedał wszystkie lalki, ja zaś za miłe spotkanie ze starymi znajomymi Polakami: państwem Chmielarzami, Węgrzynowskimi i Arciszewskimi, u których na zakończenie pobytu w Normandii spędziłem jeszcze kilka dni.

EMILIAN BLIŹNIAK

wspomina dr Maria Brykowska — elementy gotyckie, renesansowe. Wiemy ze źródeł, że zamek najprawdopodobniej fundował pod koniec XIV wieku Klemens z Moskorzowa. I badania architektoniczne zdają się to potwierdzać. Wiemy z opracowań, że w połowie XVI wieku (w roku 1530), część zamku odkupują od Kamienieckich Bonerowie i przebudowują go na renesansową rezydencję. Znalezione przez nas elementy kamienne, rozmaite fragmenty, są wysokiej klasy, klasy kamieniarki wawelskiej.

— Nic w tym dziwnego, wiemy skądinąd — dorzucam — że właśnie jeden z Bonerów kierował przebudową Wawelu, jest więc prawdopodobne, że do niektórych robót w zamku odrzykońskim zaangażowani byli ci sami kamieniarze, rzemieślnicy. A jeżeli chodzi o Moskorzewskiego — to można również postawić hipotezę, że otrzymał on od Jagielly gotowy już zamek, niewykluczone, iż zbu-

względem ornamentyki, jak i kolorystyki.

3. Kłopoty z polskim klimatem

Nielatwe zadania mają do spełnienia konserwatorzy. W jaki sposób skutecznie zabezpieczyć resztki zamku Kamienieckich, Bonerów, Skotnickich, Firlejów? Jakich użyć sposobów, aby z resztek ocalałych murów, baszt utworzyć tzw. „trwałą ruinę”. W naszych warunkach geograficznych, w odróżnieniu na przykład od cudownych właściwości klimatu śródziemnomorskiego — wszelka substancja budowlana narażona jest na ujemne działanie warunków klimatycznych. Odsłonięte mury rozsądza mróz, woda wypłukuje jego zaprawę, obluźnia spoiwość kamieni...

Mgr Tomasz Jurasz, inspektor zarządu muzeów i ochrony zabytków z MKiS, nie ukrywał przede mną, że zadanie jest ogromnie skomplikowane i trudne. Cała na-

Justyna Woś

Na sto dwa...

Starowinka nakreśliła jakieś nieczytelne znaki laską w piasku. Pamięć nie jest gładka. Pamięć jest jak glina; świeża — podatna, elastyczna, dająca się modułować palcom; stara — zeschnięta, rozsypująca się w oporne grudki, które trudno już zespolić w całość... Ponad dziewięćdziesięcioletnia Barbara Białkowska gubi się w bieżącym czasie, natomiast z zadziwiającą wprost drobiazgowością odtwarza bieg zdarzeń dawnych — utrwalonych w pamięci dziecka.

— Pięć lat miałam, jak poszłam w służbę, całe życie na lasce ludzi, we dworach, fabrykach, na robotach w Węgrzech i Niemczech...

Minęło wszystko. Opowiadanie o tym trwa zaledwie tak długo jak kilka ruchów kijem w piasku. Ot, czy warto do tego wracać?

Druga babunia. Za kilka miesięcy sto lat! Ież przeobrażeń i zmian zachodzi w świecie w stułeciu — czasie równym istnieniu jednego człowieka. Pierwsza, druga wojna, tułaczka i już dwadzieścia lat w Państwowym Domu Opieki. 99-letnia Julia Mrozowska wbrew przekonaniom, iż przemijanie niesie smutek, jest uosobieniem pogody, spokoju i cichej ledwie uchwytnej radości. Odpoczywa po długiej, uciążliwej żywotnej podróży. Nie zna troski o ciepło, chleb. Nie straszy wizja siedzenia pod kościołem z drzącą, wyciągniętą ręką. Rozczuliła się, gdy ktoś przytargał dla niej ogromny, wygodny fotel, zamiast krzesła, na którym wysiadywała godzinami, zmieniając pozycję, przykuta od lat do łóżka. Po prostu jest w domu.

Takich specjalnych domów jest wiele, znajdują w nich schronienie setki przewlekle chorych, ludzi z demencją starczą, rencistów... Najważniejsze, że dba się o to, aby nie były to przytulki, w których zamyka się ludzi będących u kresu życia. Zresztą medycyna wyodrębniła osobną dziedzinę wiedzy lekarskiej — geriatricę i na przekór, uprzedzeniem dowodzi, iż istnieją możliwości leczenia chorób wieku starczego. W naszym województwie istnieje rywalizacja między „domami specjalnymi” o poprawę, o lepszą opiekę w tej dziedzinie, o zapewnienie pogodnej starości. W jakim stopniu spełnia się to humanitarne zadanie? Odpowiedzi szukałam w czystych pokojach, w ładnie urządzonej świetlicy w Jadalni, wśród laweczek ustawionych we wspaniałym angielskim parku — byłej rezydencji Czarotoryskich — obecnie Państwowym Domu Opieki w Pełkiniach (pow. Jarosław).

Sto trzydzieści osób. Ludzie o różnych charakterach, różnej odporności. Rozmawiałam z dziadkiem zniszczonym przeżyciami,

schorowanym, poddającym się depresji. Towarzyszy mu lęk, urojenia o coraz to nowych nieuleczalnych chorobach. To go przyciąga. Wszystkie inne wartości tracą na znaczeniu... Ale rozmawiałam również z pensjonariuszami o zadziwiającym poczuciu rzeczywistości, z humorem patrzącymi na otoczenie. Widziałam ich wylewność, szczerość, wesołość — obok uporczywa melancholia, podejrzliwość i strach, który nakazuje gromadzić grosze pod materacem „dla zabezpieczenia przyszłości”. Słyszałam o tych, co szukają uciechy życia, tak jak starszulek, który zrobił sobie wycieczkę do Przemysła, trochę podochocił — wrócił, a za nim rachunek z... Izby Wyrzeźwień. Inny nie może wyjść natomiast poza obręb parku; zanik pamięci czyni go bezradnym jak małe dziecko zagubione w obcym świecie.

Kontrasty. Każdy z tej stotrydziestopięcioletniej rodziny ma odmienne usposobienie, skłonności i zapewniając im opiekę trzeba sporo chęci i wysiłku, aby mieć ciągle to na uwadze.

ZBURZENIE CHIŃSKIEGO MURU

— Nie sztuka być dyrektorem, sztuka być człowiekiem — powiedziała jedna z rozmówczyń. To zdanie nie zawierało dezaprobaty, nie wyrażało pochwały. Intrygowało. Było zaczepne. Jego właściwy sens uzewnętrznili się dopiero po odbyciu wielu rozmów, słuchaniu wielu luźnych uwag, opinii, po przeczytaniu ładnie i skrupulatnie prowadzonej „Kroniki Domu w Pełkiniach” przez byłą nauczycielkę Kazimierę Chudzińską.

Ich dom istnieje od 1950 roku, przeszedł już różne koleje, etapy rozwoju, zmiany. Niespełna dwa lata temu pojawił się nowy człowiek. Na pierwszym zebraniu powiedział „nie jesteście tutaj po to aby oczekiwać na śmierć! Wy przeciw życie, wam się należy przeciw coś z życia...”

Wkrótce się zaczęło. Ku oburzeniu niektórych obserwatorów z zewnątrz, nowo kreowany dyrektor przepędził krowy pasące się w parku, rozpoczął akcję porządkowań, zakładania klombów, sadzenia drzewek. Inżynier Jerzy Jaworski od razu zdradził w sobie leśnika, człowieka u którego obcowanie z przyrodą wykształtowało twardy, szorstki, a zarazem wrażliwy i miękki charakter. Zrozumiał mieszkańców. Otworzył klub „Ruchu” (z równoczesnym udostępnieniem go dla mieszkańców wsi!), punkt biblioteczny, gabinet fryzjerski, ułożono harmonogram zajęć w świetlicy — dom przestał być izolatorium wywołującym przykre skojarzenia, zapulsowało życiem, wyłoniło się



CAF — fot. A. LOKAJ

wiele spraw „jeszcze do załatwienia”. Codziennie przewodnicząca Społecznej Rady Mieszkańców Maria Polkowska z napiętą uwagą odnotowuje wszystkie problemy, jest sprężyną działań od układania jadłospisu (zgodnie z życzeniem większości pensjonariuszy) do planowania rozrywek kulturalnych, łagodzenia sporów, pośredniczenia między personelem, a podopiecznymi.

Zmiany uchwyciono. Spowodowały wzruszenia. W Kronice odnotowano: „nie jesteśmy złem koniecznym”.

Dyrektor Jaworski okazał się dobrym włodarzem, gospodarzem. Okazał się również... człowiekiem. Nie można też było obojętnie przejść obok codziennych, normalnych ludzkich obrazków. Na lawce trzy skulone starowinki na widok dyrektora niemal równocześnie krzyknęły — nasz tato idzie!!

Jak to wytłumaczyć?

— Staram się każdego z osobna i oddzielnie rozumieć jako swoją babkę i dziadka... Tych ludzi nie można zmieścić w schemacie. Na jednego trzeba krzyknąć, przywołać do porządku, drugiego przygarnąć dobrym słowem, uśmiechem... Zdołoby sobie zaufanie. Jeden raz tylko wytrzymać musiał ostrą krytykę, histериę, szapny. Kto wie może i przekleństwa ogółu? Inwazja pcheł. Dyrektor w porozumieniu z lekarzem wypowiedział zdecydowaną wojnę insektom. Sypano proszek jak się dało, i gdzie się dało: na prześcieradło, w spodnie, koszulce... Dziś czystutki, schludnie,

higienicznie — wspomnienie zaś tego wydarzenia wydaje się już mało znaczącym i komicznym epizodem.

ARKADIA SPOKOJU

Smutne, pierwsze wrażenie rozpryskuje się z każdą chwilą.

Przemijanie. Słynna teza starożytnego filozofa „panta rhei” szczególnie wyraziście kształtuje się w plastyczny obraz właśnie tutaj. A jednak refleksja i zadoma kieruje uwagę w stronę humanistyczną. Nie po to są domy opieki, aby wytwarzać w nich ponury nastrój wycecikowania, ascetycznego umartwiania się.

Znana nam już 90-letnia babunia uśmiecha się, gdy pytam ją jak się jej tu mieszka.

— Pożyję jeszcze jak Bóg da... dobrze mi tutaj i nigdy mi tak nie było... całe życie na poniewierze — mówi drżącym urywanym głosem.

Wielu takich jak ona nie może ogarnąć i pojąć swoim umysłem genezy tej niespodziewanej dobroci na... ziemi. Nie rozróżniają czy to zasługa boska, czy ludzka — mieli po 70, 80 lat, gdy dokonywały się wielkie przeobrażenia i zmiany, których efektem są też domy opieki — w młodej Polsce.

— Teraz nie wyobrażam sobie innego życia niż tutaj... Tak mówi znana aktorka, którą pamiętamy z wielu charakterystycznych kreacji na scenie rzeszowskiej, w filmie („Zakazane piosenki”, „Irena do domu”, „Ulica graniczna”, „Tajemnicza przystań”, „Piątka z uli-

cy Barskiej” itd.). Jej pojawienie się wywoływało burzę oklasków, totalny śmiech. Od kilku lat pani Puchniewska zlożona chorobą nóg — odpoczywa w Pełkiniach. I humor ten sam, ta sama wydaje się życiowa werwa — a przecież to już grubo ponad osiemdziesiątkę.

— Zaczynałam karierę aktorską w teatrze objazdowym. Zawód aktora — w tamtych czasach — to kompromitacja. Do dziś wspomina się zawołanie: „bieliznę z plotu, komedianci jada”. A potem film, teatr w Katowicach, Łodzi, Wandy Siemaszkowej w Rzeszowie... Ostatnia rola w „Weselu”. Ostatni raz zapadła kurtyna, ostatni raz usłyszałam brawa. Koniec. Były jeszcze kosze kwiatów, toasty — a za mną 45 lat pracy aktorskiej... Ogromny żal sceny, ale obejmuje mnie błogi spokój, gdy pomyślę, że starość zastała mnie w takich warunkach...

Ogarniając pożegnalnym spojrzeniem dom na wzgórzu, wśród drzew przykuł jeszcze moją uwagę zwykły, normalny widok: siedzącej pod świerkiem staruszki z książeczką. Jeszcze książdz w młodości „wyuczył” ją czytać, ale tylko z tych pozólkich kartek. Z innych czytać nie umie.

A gazety? Aha, w nich stoi o wojnach i polityce. O nas? Nie może być!

— To niech napiszą, że jest tu NA STO DWA, na sto dwa! — powtórzyła dobitnie.

Do dziś dźwięczą mi w uszach te trzy słowa babci, która posłużyła się najprostszym zwrotem potoczny, utartym frazesem — wyrażając w nim wszystko.

Blisko 7,5 mln widzów w teatrach

W sierpniu br. mija 25 lat od dnia, w którym na wyzwolonym skrawku ziemi polskiej, w Lublinie, odbyła się pierwsza na stałej scenie teatralnej premiera „Słubów panińskich”. Sztuka ta, w wykonaniu artystów teatru i Armii WP, otworzyła powojenną historię polskiego teatru. O teatralnym 25-leciu mówi w wywiadzie dla PAP dyr. Zespołu do Spraw Teatru i Muzyki Ministerstwa Kultury i Sztuki — Irena Schubertowa.

— Teatr — powiedziała na wstępie — był jedną z dziedzin życia kulturalnego, w której najszybciej przystąpiono do odbudowy i zalecania ogromnych ran spowodowanych wojną i eksterminacyjną polityką okupanta hitlerowskiego. Rany te — podobnie jak i we wszystkich innych dziedzinach kultury i sztuki — były nad wyraz ciężkie. Wystarczy przypomnieć, że

zniszczeniu uległy wszystkie teatry Warszawy, w gruzach legły teatry Gdańska, Bydgoszczy i Wrocławia. Wykruszyło się — zginęło lub zmarło w obozach koncentracyjnych wielu czołowych twórców i aktorów. A mimo to już 9 maja 1945 r. — w dniu zakończenia II wojny światowej — pracowano na wyzwolonych ziemiach polskich 16 teatrów dramatycznych. W roku 1946 było ich już 35, a w roku 1948 dysponowaliśmy 45 placówkami teatralnymi. Sztuki przygotowane przez te teatry obejrzało w 1946 roku około 4 184 tys. widzów. W roku 1948 frekwencja w teatrach wzrosła do 5 125 tys. osób. W 6 lat później — w 1954 r. sztuki teatralne obejrzało blisko 9 312 tys. widzów.

Jednym z czynników umożliwiających tak szerokie społeczne oddziaływanie teatrów, stała się dzia-

łalność objazdowa. Zgodnie z ogólnymi założeniami polityki kulturalnej, podjęto zadanie wprowadzenia do teatru widza robotniczego, wiejskiego, młodzieży, likwidację białych plam na mapie teatralnej kraju nie tylko poprzez sceny objazdowe, lecz również tworzenie nowych placówek w tzw. ośrodkach prowincjonalnych. W ten sposób powstały teatry w Gnieźnie, Radomiu, Tarnowie, Grudziądzu, Koszalinie i Wałbrzychu.

Dziś, po 25 latach — oświadczyła dyr. Irena Schubertowa — mamy w Polsce 50 teatrów dramatycznych, dysponujących 72 scenami. Wg danych z ostatnich 5 lat spektakle tych teatrów oglądane są przez ponad 7 mln widzów rocznie. Z liczby tej od 2—3 mln przypada na widza w terenie. Teatry te dają rocznie około 400 premier i blisko 20 tys. przedstawień. Warto

zwrócić uwagę, że nasz obecny stan posiadania znacznie przerasta to, czym dysponowaliśmy przed wojną. Przykładowo mamy obecnie w Warszawie 22 teatry dramatyczne, podczas kiedy w 1938 r. działało w stolicy — wliczając w to teatryki bulwarowe — tylko 16 scen. W Krakowie, gdzie przed wojną istniał jeden teatr dramatyczny obecnie działają cztery. Możliwość szerszych porównań utrudnia znacznie brak ścisłych informacji sprzed 1939 r. oraz zniaczenia życia teatralnego w Polsce — efemeryczność wielu teatrów.

Przechodząc do problemów repertuaru I. Schubertowa wskazała na wzrastający w nim udział dramaturgii narodowej. Stanowi ona niemal 50 proc. repertuaru naszych teatrów. Do najczęściej grywanych należą sztuki Fredry, Słowackiego, Wyspiańskiego oraz — spośród współczesnych autorów polskich utwory L. Kruczkowskiego, J. Szaniawskiego, J. Brożkiewicza, Z. Skowrońskiego, L. H. Morstina, J. Jurandota i in. Wśród sztuk tych

autorów największą ilość wystawień osiągnęły „Niemcy”, „Pierwszy dzień wolności”, „Dwa teatry”, „Takie czasy”, „Maturzyści” i „Odwety”.

Repertuar teatrów planowany jest z uwzględnieniem zarówno przygotowania, jak i wymagań szeroko pojętej widowni. Uwzględnia widza dziecięcego i młodzieżowego, widza robotniczego oraz nowego odbiorcę dóbr kulturalnych ze wsi. Jego cechą szczególną jest nie tylko zaspokajanie potrzeb, ale ich kształtowanie i podnoszenie na coraz wyższy poziom — równanie „w górę”. Np. w samym tylko roku ubiegłym, teatry dla najmłodszych przygotowały 88 premier, które obejrzało ponad 2 380 tys. widzów. Ważnym czynnikiem w procesie upowszechnienia sztuki jest teatr telewizyjny. Daje on rocznie ok. 100 premier. Jest to — w tej chwili — największa scena w Polsce.

*) Działają one w 35 ośrodkach całego kraju.

Julian Ratajczak

W poszukiwaniu nowoczesności

Dla oka i ucha

Ludzkie ucho rejestruje wszystkie dźwięki, począwszy od częstotliwości 16 Hz (najniższy ton organów), a skończywszy na 20 000 Hz (szmer uboczne instrumentów muzycznych). Budowa urządzeń elektroakustycznych (zalicza się do nich i nasze początkowe radio), zdolnych do przekazywania słuchaczowi tak szerokiej skali dźwięków, jest obecnie niewykonalna, szczególnie w zakresie tonów najniższych. System „HiFi” (symbol ten jest skrótem angielskiego określenia „High Fidelity” i oznacza najwyższą wierność odbioru) pozwala na przekazywanie dźwięków w zakresie ok. 30—18 000 Hz i w zupełności wystarcza nawet najbardziej wybrednym muzycznym koneserom. Połączenie systemu „HiFi” ze stereofonią i iluminofonią (tj. projekcją barw, różnych dla poszczególnych częstotliwości i natężenia dźwięków) dostarcza przeżył, zbliżonych do tych, jakie znajduje się na sali koncertowej.

Tymczasem jakość odbiorników radiowych, a także gramofonów elektrycznych i magnetofonów, budowanych dotychczas głównie z myślą o ilościowym zapożyczeniu milionowych potrzeb, pozostawia wiele do życzenia. Dość powiedzieć, że przeciętny Polonus korzysta z radia, przenoszącego zaledwie pasmo 250—3500 Hz (w przypadku odbiorników kieszonek jest ono jeszcze węższe) i to tylko wtedy, gdy odbiornik pracuje bez zakłóceń. W nowszych konstrukcjach, z zakresem fal ultrakrótkich (UKF) i ulepszonym głośnikiem szerokopasmowym, sytuacja jest nieco lepsza (100—10 000 Hz), następuje wtedy jednak zachwianie równowagi pomiędzy górnym i dolnym zakresem odtwarzanych częstotliwości (za mało słyszy się „basów”) i konieczne staje się dołączenie dodatkowego głośnika w specjalnej obudowie, gwarantującej prawidłowy odbiór niskich tonów. Cóż, kiedy takich obudów nie ma na rynku i meloman skazany jest na własną inwencję. Poza tym rodzimy przemysł radiowy — jako jeden z nielicznych w Europie — z uporem godnym lepszej sprawy produkuje nawet nie najgorsze odbiorniki bez zakresu UKF. Taka jest np. „Balladyna”, najmłodsze „dziecię” zakładów „Diora”, jedyny zresztą nowy model radia, zaopatrzony w gramofon elektryczny. Ta sama wytwórnia wprowadziła też do sprzedaży „Relaks 2” i „Menuet”; posiadają one wprawdzie zakres fal ultrakrótkich, jednak są to nadal odbiorniki klasy średniej. Oczywiście zapotrzebowanie na aparaty tego typu jest jeszcze bardzo duże, tym bardziej, że obecnie ich jakość nie nasuwa już większych zastrzeżeń. Nie usprawiedliwia to jednak w niczym producentów, rośnie bowiem stale liczba klientów, domagających się odbiorników najwyższej klasy.

Jedynym aparatem o wyższych parametrach miało być „Domino”, produkcja zakładów im. Kasprzaka. Ustalona cena (3700 zł!) powinna gwarantować jego wysoką jakość. Rzeczywiście, jest to radio lepsze od innych, jednak to jeszcze nie to, na co oczekiwaliśmy.

Zakłady Kasprzaka opuścił też dobry odbiornik samochodowy „Admirał”, a pod koniec roku ma wejść wreszcie na taśmę produkcyjną „Rajd” — pierwszy polski odbiornik samochodowy z zakresem UKF. Oby tylko termin produkcji nie uległ — jak to już nieraz bywało — przesunięciu.

Bydgoska „Eltra” — nasz monopolista w produkcji kieszonek odbiorników — nadal pozostaje głucha na żądania nabywców: z czterech unowocześnionych odbiorników, które zostają wprowadzone do sprzedaży w tym roku („Sylwia 2”, „Kamila”, „Kama” i „Dominika”), tylko w tym ostatnim wprowadzono

zakres fal krótkich. Na pozostałych, zgodnie z nie najlepszą tradycją, będzie można odbierać wyłącznie fale średnie i długie. Nic też nie wskazuje na to, aby w najbliższym czasie miało się ukazać małe radio z zakresem UKF. Widocznie „Eltra” nie obwiązuje liczenie się z potrzebami klientów.

UCZTA DLA OCZU

Producenci aparatów radiowych, mimo wieloletnich doświadczeń, nie potrafili dotychczas w pełni zaspokoić wzrastających wymagań odbiorców. Udało się to natomiast wytwórcom telewizorów — szczególnie Warszawskim Zakładom Telewizyjnym. Produkowane przez nich ulepszone aparaty: „Ametyst 102”, „Opal 2” i „Granit” można bez jakiegokolwiek obaw zaliczyć do klasy europejskiej. Szczególnie „Granit”, 23-calowy telewizor, w którym zastosowane zostały najnowocześniejsze rozwiązania konstrukcyjne, charakteryzujący się przy tym bardzo ładną obudową, okazał się rewelacją na naszym rynku. Dzięki nowym, wysokiej klasy głośnikom, odbiór dźwięków średnich i wysokich jest nie nagienny (dla dobrego odtwarzania „basów” trzeba — indyferentnie jak w aparatach radiowych — zastosować dodatkowy głośnik).

BUBLE TEŻ DLA LUDZI

Pierwszy krajowy gramofon elektryczny do odtwarzania płyt drobnotonowych, wzorowany na „Philipsie”, opuścił Łódzkie Zakłady Radiowe w r. 1953, a w trzy lata później jego ulepszona (?) wersja ukazała się na rynku pod kryptonimem „G-56”. Gramofon ten, jakże słusznie ochrzczony przez Jerzego Waldorffa mianem „strugarki”, stał się podstawą „Karolinki” i „Bambina”, a po zmianie ramienia — „G-250” i pseudostereofonicznej „Mimozy”. Zmieniały się nazwy i kształt obudowy, jakość pozostawała ta sama. Ukazały się też gramofony nieco wyższej klasy („Stereo 260”, „Dueton” i „Luxton”), jednak nie mogły one zyskać uznania klienta bardziej wymagającego. Zresztą produkcję „Luxtonu” trzeba było wstrzymać całkowicie, znaczną bowiem część tych „luksusowych” gramofonów po prostu... nie działała. Obecnie produkowany jest „Luxton 2”, z którego usunięto dostrzeżone usterki.

W tym czasie również inne zakłady podejmują produkcję gramofonów, jednak bez większych

efektów. Charakterystyczna stała się m. in. sprawa zestawu, składającego się z radia, gramofonu stereofonicznego i kolumn głośnikowych. „Kombinat” ten nazywał się „Carmen Stereo” i kosztował — drobiaz: 5900 zł. „Złosiłwi” stwierdzili jednak, że do produkcji gramofonu użyto widocznie części ze starej sieczkarni... Na „polu walki” pozostały więc nadal tylko Łódzkie Zakłady Radiowe.

I wreszcie — po kilkuletnim okresie zapewnień i obietnic — ujrzał światło dzienne gramofon stereofoniczny z prawdziwego zdarzenia. Nazwany został „G-600, Fonica”, zaopatrzony w zagraniczną wkładkę magnetoelektryczną i wszelkie „szykany” z doskonałym wzmacniaczem „W-600” i kolumnami dźwiękowymi; otrzymał też symbol „HiFi”. Nic dziwnego, że wzbudził ogromne zainteresowanie na Targach Poznańskich w r. 1967. Producent zapewnia przy tym, że będzie można nabywać oddzielnie każdy człon tego zestawu, a więc dość znaczny wydatek zostanie rozłożony na raty. Cóż, kiedy dotychczas nikt jeszcze tego „rarity” w sklepie nie widział...

Tymczasem można niekiedy nabyć jego wersję przenośną, nazwaną „G-450, Delta-Stereo”, tyle, że... ze zwykłą, monofoniczną wkładką „Uk-4”. Ulotka reklamowa zapewnia, że można ją bez kłopotu wymienić na stereofoniczną „Uf-1”, ale po pierwsze wkładki tych jeszcze nie ma, a poza tym do chwili ukazania się wzmacniacza „W-600” są i tak niepotrzebne, bo za pomocą zwykłego radia przestrzennego dźwięku się nie uzyska. Chyba, że ktoś zbuduje sobie wzmacniacz we własnym zakresie.

„POLITECHNICZACJA — Z CZYM TO SIĘ JE?”

Jak widać, niedobór wysokiej klasy urządzeń elektroakustycznych na naszym rynku jest jeszcze dość znaczny. Melomanom pozostaje więc albo sprowadzać je od naszych najbliższych sąsiadów, gdzie są produkowane od dawna i to w znacznych ilościach, albo też samemu pokusić się o ich budowę. Literatura z zakresu elektroniki jest bardzo obszerna i łatwo dostępna w księgarniach, problemy techniczne także nie takie znowu skomplikowane i każdy radioamator może próbować swoich sił na tym polu. Wystarczy pewien zasób wiadomości i dobre chęci, aby do własnego radia starszego typu dorobić zakres UKF, ulepszyć

(Ciąg dalszy na str. 8)



CZAS WIELKIEJ PROBY. Wspomnienia bojowników o Ojczyznę Ludową. 1939 — 1945. Kłw. s. 644, cena 80 zł. Czwórka. Piłtno.

Zakład Historii Partii zebrał i prezentuje czytelnikom bogato ilustrowany tom tekstów „...Pisanych przez ludzi nawiązków do posługiwania się piórem i takich, którzy z tą formą wypowiedzi nie są zbytnio spoufali, wypowiedzi polityków wykonujących obecnie nierazko bardzo odpowiedzialne funkcje na różnych szczeblach władzy państwowej i partyjnej, lecz także i ludzi nie obarczonych aż tak znaczną odpowiedzialnością. Łączy ich w tej książce to, co łączyło ich dawniej, i po dziś dzień jednocy: przynależność do partii w jej bohaterskim okresie istnienia, uczestnictwo w pracy konspiracyjnej za czasów okupacji, w pracy, która legła u fundamentów Polskiej Ludowej” (ze wstępu). Obszerna, interesująca pozycja stanowi niewątpliwie przyczy-

nek do poznania dziejów naszego narodu.

Henryk Cybulski: CZERWONE NOCE. MON. s. 380, cena 22 zł.

Wspomnienia te, to pierwsza pełna publikacja o powstaniu i dziejach ludności polskiej we wsi Przebrazka na Wołyniu w latach 1943—1944. Ludność ta w obawie przed bandami UPA zorganizowała samoobronę. Komendantem tego zbrojnego obozu był właśnie autor.

Rudolf Veitka: SKOK W CIEMNOŚĆ. Tłum. G. Łatuszyński. MON. s. 380, cena 25 zł.

Również wspomnienia, ale tym razem czeskiego komunisty, który był współtwórcą KPCZ w szczególności trudnym okresie okupacji. Mowa jest tu o trzecim konspiracyjnym Komitecie Centralnym KPCZ. Był kierownikiem grupy desantowej, aktywizował walkę konspiracyjną w kraju. Ciekawe i raczej mało znane szczegóły. Obiektywne.

Adam Bakalarczyk: LESNE BOJE. Wyd. IV rozszerzone. MON. s. 464, cena 30 zł.

Kolejne wznowienie znanej i lubianej przez czytelników książki mówiącej o walkach polskich partyzantów w rejonie Hły w woj. kieleckim. Dużo ilustracji. Dar narracyjny.

PONAD LUDZKA MIARĘ. Wspomnienia operowanych w Ravensbrück. Wyd. II. s. 432, cena 35 zł.

Wznowienie tomu wspomnień, które przerażają swą treścią. Są jednak koniecznym przypomnieniem okrutnych dni okupacji, kiedy to Niemcy przeprowadzali doświadczenia na

kobietach więźniarkach. Wiele z nich jest do dziś dnia obarczonych trwałym kalectwem. Przypomnienie przed tragicznym wrześniem 1939 r.

Danuta Brzosko-Medyk: NIEBO BEZ PTAKÓW. Wyd. II. MON. s. 422, cena 25 zł.

Również wznowienie wspomnień młodzieńkiej wówczas dziewczyny, która aresztowana na tajnych kompletach, więziona była na Pawlaku, a potem w Majdanku. Poznała i opisała cały mechanizm zbrodni i śmierci. Nie wszyscy spędzali lata młodzieńcze i dziewczęce w naturalnych warunkach...

Maria Kasprzaczowa: W NASZYM GÓRSKIM DOMU. PIW. s. 222, cena 15 zł.

Jest to ostatnia książka pióra żony Jana Kasprzaczowa. Szkice w niej zawarte wybrane zostały z różnych prac przechowywanych w notatkach i maszynopisach. Jest to jak gdyby ciąg dalszy wspomnień niedawno „Dzienników”. O Harendzie i ludziach z nią związanych. Wpada nieco w beletrystykę.

Kazimierz Wyka: O POTRZEBIE HISTORII LITERATURY. Szkice polityczne z lat 1944—1967. PIW. s. 382, cena 45 zł.

Tom zawiera szkice i rozprawy wenej ogłoszone w czasopiśmie lub wydawnictwach. Niektóre są w pełnej redakcji, niektóre w redakcji wzbogaconej o nowe materiały i dodatki, niektóre zgodne z pierwodrukami. Dotyczą głównie powieści.

Jadwiga Stolarczyk: KATOLICYZM SPOŁECZNY. Kłw. s. 276, cena 20 złotych.

Kartki dla Ewy
Konie

Koń ma cztery nogi, dobre podkute kopyta, serce, płuca i „grajaca” śledziona. Zjada owies, siano i zieloną trawkę. Lubi cukier, chleb i dotyk dłoni troskliwego gospodarza. Mieszka w stajni, ale jest zwierzęciem szlachetnym, wciąż jeszcze pożytecznym i pięknym.

Dawniej na koniach jeździła szlachta i rycerze, dobry koń to był ciężki majątek. Więc ciury i chudopacholki chadzali per pedes, ten i ów — bywało — korzystał z osła.

Samochód ma cztery koła pięknie ubrane w opony. Silnik z ukrytymi w nim tłokami i cylindrami, podwozie, karoserię... Innych części nie wymienię, jestem kobietą, czuję się zwolniona od takiej drobiazgowości. Samochód żywi się benzyna i olejem, kocha wysokie oktany, wymaga drobnych remontów. Powinien mieć swój garaż, ale najczęściej mieszka pod chmurką, czego sobie nie chwali. Jest maszyną wielce użyteczną, ale kosztowną.

Posiadaczami samochodów są dzisiaj ludzie, którym wiedzie się raczej dobrze lub skąpiradla oszczędzające na żołądku, nie mówią już o biletach do kina. Inni chodzą piechota, jeżdżą miejską komunikacją, strzygą okiem na cudze cztery kółka z obawą lub zazdrością.

Własny ekwipaż przed laty świadczył o pozycji towarzyskiej. Samochód dzisiaj może też mieć ten walor, ale wcale nie musi. Niejeden elegant za kierownicą Fiata może mieć w herbie kapustę i marchew, choć niechętnie się do tego przyznaje. Innych wręcz nie wypada pytać, jaką drogą doszli do wozu — byłby to nietakt, tego typu, na jaki pozwalają sobie, o zgrozo, prokuratorzy. Taki pan patrzy jednak z góry na właściciela Syrenki, lub Trabanta — gdyż jego zdaniem pojazdy te są zaledwie zbliżone do samochodu.

Za to kompletną nicością są już ludzie poruszający się na własnych nogach. Te nieopancerzone w blachę stworzenia należą przepędzić nawet z przejść dla nich przeznaczonych, postraszyć, żeby się nie pętały licho wie po co. Nogi, dwie własne nogi są absolutnym przeżytkiem.

Koń musi mieć dużo ruchu, inaczej sztywnieją mu mięśnie, tracą elastyczność. Spętany pragnie swobody, niecierpliwie grzebie kopytem. Lubi swojego jeźdźcę i dobrze go rozumie — nie zawsze trzeba ostrogi, żeby pomknął w dal. Bywało dawniej, że brutal w wygodnym siodle najęźdżał pieszego, ale koń wzdrażał się przed napaścią na istotę słabszą i trzeba było go zmuszać, żeby powalił człowieka.

Mechaniczne konie ukryte pod maską samochodu są absolutnie posłuszne swojemu jeźdźcy, ale czasami lubią płatać figle, szczególnie mało wprawnym i wtedy zabawa zle się kończy. Co jeden koń, nawet najbardziej narowisty, to nie czterdzieści, co galop, to nie szybkość dobrego huraganu: biada jeźdźcom i najechanym.

Nie było dawniej końskiego kodeksu drogowego i prawa jazdy na szkapę, na rumaka czy osła. Nie było przejść dla pieszych i jezdni jednokierunkowych czy koniostrad. Jechało się nie „setką”, tylko „co koń wyskoczy” — nie „czterdziestką”, tylko stępa lub klusem. I łatwiej było ściągnąć cugle, niż zdjąć stopę z przyspiesznika, przenieść ją na hamulec i zatrzymać znarowione stado mechanicznych rumaków... Tak samo jednak przed stu, dwustu i trzystu laty obsypywano obfitymi wiązkami „od taty, mamy i prababci” spieszonych jak teraz. Bywało batem oberwał ten i ów od zadziernego woźnicy. Dzisiaj kierowcy dysponują co najwyżej korbą, a i to nie wszyscy! Ginie powoli jeździecka tradycja.

Piękne są wszystkie konie służące człowiekowi — te z lśniącej grzywy i te z metalu, których jest znacznie więcej, choć do niedawna było jeszcze odwrotnie.

Ile też może kosztować prawdziwy koń? Ba, gdybym miała takiego o lśniącej sierści i wrażliwych chrapach...! Na wszystkie Piaty, Syrenki, Simki mogłabym patrzeć z góry! Chyba, że w modę weszłyby ciężarówki...

BEGA

OCRODEK NIEPLEWIONY

Tym razem w naszej rubryce publikujemy lekkie, małe formy niedzielnej muzy. To oczywiście nie oznacza, iż nasi korespondenci nie zamierzali przekazać nam ważkich spostrzeżeń i opinii. Są to najczęściej sądy z zakresu problematyki „wino, kobieta i śpiew”, chociaż w nieco zmodyfikowanym, bardziej współczesnym brzmieniu. Oto np. jeden z mieszkańców Tarnobrzega potępia zdecydowanie krótkie spódniczki u dziewcząt:

MINI

Gdy przyglądam się dziewczynie
Przed wszystkim widzę „mini”.
Nieraz na myśl mi przychodzi
To co ludziom życie słodzi:
słoik miodu, piasek mleczko
lub pomadek pudeleczeko.

Bo „giczały” rachityczne
Kablukowe i komiczne
Zabijają wdzięk dzierlatek,
gdy skończyły „naście” latek.

Jan Marian J.

Inny fraszkopisarz martwi się płochością i lekkomyślnością współczesnych dziewcząt. Nie zwracając uwagi na szatki zewnętrzne obnaża ich przewrotne dusze:

„Tego kocha, tamtego lubi, z owym się zna,
Już sama nie wie czy cnotę ma.
Z jednym łązi, z drugim lata, z trzecim chodzi,
Nikt się nie zdziwi kiedy urodzi”.

A. B. Antoni — Rzeszów

Jeszcze inny czytelnik gorszy się zazdrością kobiet, uzalając się (prawdopodobnie nad sobą) we fraszce autobiograficznej

PQWOD

„Z tego powodu rozwodu chciała
bo go w objęciach muzy zastata”.

Tyle na razie o kobietach. Teraz trochę o winie, czyli skutkach nadużycia alkoholu. Publikujemy często i będziemy publikować w ośrodku opinie na ten temat doceniające społeczną, a bezinteresowną pasję korespondentów naszej rubryki.

OSTRZEŻENIE

Gdyś na gazie dodaj gazu
wnet się znajdziesz na cmentarzu,
bo nawet kask ci nie pomoże
gdyś pijany na motorze.

MOCNA GŁOWA

Pije wszystko co mu dacie
byle on za to nie płacił.

I wreszcie coś do pośmiania się. Perełki humoru nieocenionego Tadeusza Mazura z Czeluśnicy (podajemy tym razem pełne nazwisko humorysty i miejscowość, gdyż prosił nas byśmy podali „nazwisko i wieś, dlatego ażeby moi koledzy byli trochę pomarszczeni, że jestem w gazecie”...
Oto jego anegdota o komisarzu:

„Co pan chciał od nas? — Czy mieszkaniec ma komin? — Oczywiście, ale komin jest mały. — To dlaczego pan nie postawi większego? — Boję się zbudować większy, bo pan kominiarz by spadł”.

Dla oka i ucha

(Ciąg dalszy ze str. 7)

część akustyczną odbiornika, zrobić przystawkę iluminofoniczną, czy wreszcie zbudować dobry wzmacniacz — możliwości są wprost nieograniczone. Liczne rusze melomanów w całym kraju tak właśnie postępują. Ba, ale na naszym terenie wszystko rozbija się o brak części. W sklepach Rzeszowszczyzny brakuje nawet najbardziej potrzebnych podzespołów. Setki potencjalnych nabywców z całego województwa interweniuja oczywiście w dyrekcji Zakładów Usług Radiowych i Telewizyjnych, która zmuszona jest odsyłać ich... do Katowic.

Inne miasta wojewódzkie (a nawet niektóre mniejsze) mogły sobie jakoś z tym „problemem” poradzić i oferują wszystkim zainteresowanym szeroki asortyment ponad 5 tysięcy różnych części, z których można zbudować dostojnie wszystko. U nas wieloletnie starania ZURIT-u o przyznanie lokalu na sklep specjalistyczny, który mógłby, wzorem innych województw, prowa-

dzić oprócz „zwykłej” również sprzedaż wysyłkową, rozbijają się o mur obojętności i trudności z serii „obiektywnych”. Wydaje się, że jeśli można w bezpośrednim sąsiedztwie lokalizować kilka podobnych sklepów, np. konfekcyjnych, to można także znaleźć jakieś pomieszczenia na tę placówkę, chyba nie mniej ważną i potrzebną. Nie chodzi tutaj nawet o nowoczesny lokal w centrum miasta. Wystarczy skromniejszy — byle tylko dość obszerny — na peryferiach; zainteresowani i tak do niego trafią. Sprawa ta obecnie, w dobie politechnizacji, dojrzała już chyba do rozwiązania.

W braku innych możliwości ZURIT wydzielił stoisko z częściami w sklepie przy ul. 3 Maja, jednak ze względu na szczupłość pomieszczenia ich asortyment jest raczej nikły. Sądzymy, że stworzenie dla wszystkich zainteresowanych — a przede wszystkim dla studentów WSI i absolwentów średnich szkół technicznych — odpowiedniego zaplecza materiałowego, stało się potrzebą chwili.



ZDZISŁAW RATUSZYŃSKI — plastyk WDK w Rzeszowie.
Rys. J. SIENKIEWICZ

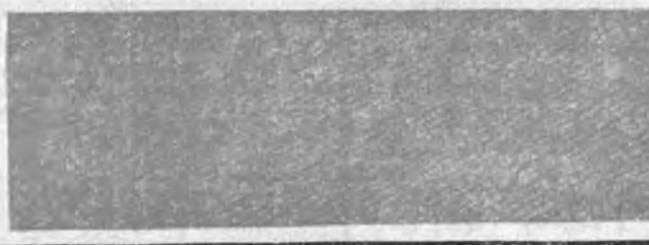
„Prawo do zabójstwa”

Powieściopisarka angielska Elaine Morgan podczas pobytu w Stanach Zjednoczonych oglądała program telewizyjny, który wywarł na niej duże wrażenie: pytano w nim tzw. człowieka z ulicy o jego reakcję w wypadku wojny atomowej. Zakładano przy tym, że indagowany jest właścicielem własnego nie zamkniętego schronu (notabene) w USA, gdzie panuje powszechny, często obsesyjny strach przed wojną atomową, przepisy nie pozwalają umieszczać zamków na drzwiach tego rodzaju schronów). Założono też w telewizji, że pytany miał przy sobie broń. Prowadzący program zapytał więc człowieka z ulicy:

— Co uczyniłby pan w wypadku, gdyby ktoś zażądał udostępnienia schronu również jemu? — Strzelałbym do niego — odpowiedział bez wahania pytany — ten schron mógł pomieścić tylko mnie i moją rodzinę, resztąłożyłem na to z własnych pieniędzy. Tak, strzelałbym, a potem umieściłbym trupa przed drzwiami schronu dla przykładu.

Dialog ten natchnął Elaine Morgan do napisania sztuki, w oparciu o którą powstało następnie widowisko telewizji francuskiej „Prawo do zabójstwa”, w adaptacji reżysera Ivana Jouannet. Młodą parę małżeńską, powracającą wraz z dzieckiem z wakacji, zastaje na ulicy alarm atomowy. Jest to zresztą jedynie alarm próbny, ale Brad Foster jest przekonany, że grozi realne niebezpieczeństwo i śpieszy z żoną i córką do swego schronu. Sąsiad prosi o wpuszczenie go również do „bezpiecznego pomieszczenia”, Foster jednak odmawia, a wobec nalegań — strzela i zabija sąsiada. Widzowie oglądają następnie przebieg procesu Fostera, oskarżonego o zabójstwo.

— Pragnąłem — oświadczył przedstawicielowi „L'Humanite” Ivan Jouannet — aby widzowie telewizyjni byli jednocześnie sami sędziami i dlatego na ekranie prezentowany jest cały proces, a sędziowie, adwokaci, świadkowie i oskarżony zwracają się najczęściej do kamery, a nie do publiczności. (Kt-PAP)



Z piosenką i tańcem rzeszowskim do Francji

Dzisiaj wyjechał z Rzeszowa do Montrejean we Francji 30-osobowy Zespół Pieśni i Tańca Wojewódzkiego Domu Kultury. Uczestniczyć będzie w Festiwalu Festiwalu Folklorystycznych — czyli imprezie, do której dopuszczeni są laureaci i zespoły wyróżnione w ostatnich latach na międzynarodowych przeglądach.

Jak pamiętamy — zespół WDK z Rzeszowa w 1964 r. zajął I miejsce podczas Fe-

stiwalu Folklorystycznego na Sycylii i obecnie wyjeżdża jako artystyczna grupa, która reprezentować będzie Polskę na międzynarodowej paradzie najlepszych zespołów pieśni i tańca.

W Montrejean rzeszowiaczy wystąpią z wiązką tańców rzeszowskich, góralskich, krakowiakiem, kujawiakiem, mazurem, polonezem oraz widowiskiem tanecznym pt. „Marzanna”.

(Just)

FILM ♦ FILM

FILM O DOWZENCE

Julia Solncewa, wdowa po znakomitym reżyserze radzieckim, Aleksandrze Dowzence, rozpoczęła pracę nad filmem poświęconym jego dziełu i życiu. W filmie zbudowanym jak gdyby na monologu wewnętrznym reżysera, wykorzystane zostaną głównie materiały z jego prywatnego archiwum. Fragmenty filmów dokumentalnych Dowzenci przeplatać się będą z urywkami utworów fabularnych.

WALKA O „KATIUSZĘ”

Reżyser W. Szredel nakręca w „Lenfilmie” film zatytułowany „Pięciu z nieba”, którego akcja toczy się podczas wojny radziecko-niemieckiej. 5-osobowa grupa radzieckich spadochroniarzy zostaje przetrzona przez front, aby zniszczyć broń rakietową, słynną „Katiuszę”, która wpadła w ręce hitlerowców.

MASTROIANNI I VITTI W FILMIE NEOREALISTYCZNYM

Mastroianni w roli malarza i Monica Vitti, jako kwiaciarka sprzedająca kwiaty przy cmentarnej bramie, będą bohaterami nowego filmu Ettore Scola pt. „Miłość i śmierć”. W filmie tym reżyser ukazując ludzi skromnych i biednych, zamierza nawiązać do zapomnianego już kierunku, jakim był neorealizm.

FILM O PATTONIE

Amerykański generał George S. Patton, dowódca 3 Armii w czasie II wojny światowej będzie bohaterem filmu, którego realizację podjął reż. Franklin Schaffner („Ten najlepszy”, „Planeta małp”). W roli Pattona wystąpi George S. Scott. Większość zdjęć wykonana zostanie w Hiszpanii. Budżet filmu wynosi 12,5 mln dolarów.

AKTORZY PRODUCENTAMI

Trojka słynnych aktorów amerykańskich Paul Newman, Sidney Poitier i Barbra Streisand założyli własne towarzystwo First Artists Production Company. Każdy członek zobowiązał się, że nakręci dla nowej firmy co najmniej 3 filmy.

OŚMIU REŻYSERÓW, DZIESIĘC DZIEWCZĄT

Francuski reżyser Jean — Gabriel Albicocco zaprosił swych siedmiu kolegów, aby nakręcili wraz z nim film „Dziesięć dziewcząt, które wstają w południe”. Chodzi o społeczne studium młodych paryżanek, które mają niezwykle godziny pracy. Aktorek jeszcze nie wybrano, a spośród reżyserów chęć realizacji poszczególnych nowel wyrazili m. in. Enrico i Lelouch.

BELMONDO I GIRARDOT SCIGANI PRZEZ INDIAN

Jedną ze scen nowego filmu Claude Leloucha pt. „Człowiek, który mi się podobą”, ukazuje dość dziwną sytuację. Bohaterowie — Paul Belmondo i Annie Girardot — uciekają przed ścigającymi ich Indianami nie dylżansem, lecz samochodem.

W rzeczywistości scenariuszowej jest to tylko sen. Lelouch zaangażował do tych scen ponad setkę Indian. W czasie przygotowań do zdjęć Belmondo, który trenował bardzo szybką jazdę samochodem, wpadł z dużą szybkością na grupę Indian charakteryzujących się do zdjęć. Rozwścieczeni statystyci rzucili się na aktora, który ratował się prawdziwą rejteradą.